T.858078 1187 84

IKS WON CHYR

CYWILIZACJA WIEKUXX.

MANE TEKEL FARES

UNJA CH LWÓW.

WINCENTY SZLACHCIUK

IKS WON CHYR

MANE TEKEL FARES

XXXXIV
WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

FRAGMENTY WYNIKÓW Z CZTERDZIESTOLETNICH ZABIEGÓW LECZNICZYCH POD AKADEMICKĄ NAZWĄ KURFUSZERSTWA, SZARLATANERJI I OSZUKAŃCZEJ SUGESTJI.

Sprawiedliwość jest kwiatem Bożym, który więdnie w objęciach nieświadomości ludzkiej.

NAKŁADEM AUTORA
LWÓW 1922

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

II.858.078

A

Z TŁOCZARNI WYDAWNICTWA POLSKIEGO WE LWOWIE

1974K787/84

XXXXIV.

Wspomnienia z przeszłości.

Fragmenty wyników z czterdziestoletnich zabiegów leczniczych pod akademicką nazwą kurfuszerstwa, szarlatanerji i oszukańczej sugestji.

Lat 40 temu poznałem się przypadkowo ze sławnym diagnostą, z doktorem Oskarem Widmanem. Wkrótce pracowaliśmy wspólnie nad ulepszeniem spidmografów; on mi objaśniał wszelkie funkcje fizjologiczne, ja zaś objaśniałem i tłumaczyłem jemu zasady i teorje elektryczności i mechaniki: ja byłem jego uczniem, a on — vice versa — moim.

Wspieraliśmy się wzajemnie w swoich pracach w najlepszej zgodzie ludzi myślących, nie robiących sobie wzajemnie żadnej konkurencji, pomagaliśmy jeden drugiemu jak najszczerzej w miarę osobistego bogactwa wiedzy.

Pewnego dnia zimowego przychodzi Oskar w swojej, jak zwyczajnie, letniej zarzutce, w stanie podnieconym, bo był przedtem na konsyljum, w chwili, gdy dusza frunęła już prawie z ciała chorego, i zwraca się do mnie z następującą propozycją: „Na uniwersytecie wpajano we mnie przekonanie, że serce działa podobnie jak pompa ssącotłocząca! — To, że działa tłocząco — wiem dobrze, lecz czy działa ssąco czyli ewakuacyjnie, tego dobrze nie pojmuję! — Pan jesteś mechanikiem, a przytem też szpicifindrem — radzę panu zająć się tą niejasną sprawą. Bardzo warto poświęcić na to więcej trudu, bo to jest nader ważna sprawa!

Wypada nadmienić, że dr. Widman był specjalistą w chorobach serca i sam też umarł na niedomóg serca. On wiedział, że ja się nadzwyczajnie interesowałem fizjologją, i że przestudjowałem co najmniej cztery różne wydania różnych autorów, począwszy od Dubois Raymonda, a skończywszy na Huxleyu, i że prace Harveya i jego tragedja koleżeńska nie były mnie obce. Nie brakowało też u mnie całego stosu prac Pogendorfa, później i Wiedemanna, ani Annalów Fizyki i Chemji, ani Nauki elektryczności i magnetyzmu Wiedemanna, ani Fizycznego leksykonu Marbacha, ani dzieła Müllera, Pouleta, Schellena, Johna Tyndala oraz wielu, wielu innych skarbów nauki fizyki i chemji, które gromadziłem od najmłodszych lat i których strzegłem jak oka w głowie; jako mechanik bowiem widziałem cały ziemski raj w nauce fizyki i elektrotechniki. Studjowałem tę wiedzę con amore bynajmniej nie w celu zastosowania jej do jakichkolwiek celów leczniczych, będąc jako młody inżynier, zanadto przejęty nauką techniczną jako taką.

Trudno mi było zrozumieć, żeby maszyna parowa w zwyczajnych warunkach, przy pełnym nacisku pary, dawała zasadniczo tylko $4^1/_2\%$, a przy zastosowaniu wszelkich ulepszeń tylko $14^1/_2\%$ skutecznego efektu mechanicznego tego ciepła, które uzyskuje się przy opalaniu kotła parowego. Teorja Roberta Mayera, Jonla, Clausjusza, Schinza, Rumforda, Pecleta „Traité de la chaleur“ były mnie zanadto dobrze znane, ażebym mógł tu dopuszczać pomyłkę. Wszak już sam James Watt znalazł, że pierwotna maszyna parowa Newcomena dawała tylko $^1/_4\%$ efektu.

Z fizjologji natomiast dowiedziałem się, że żyjące organizmy dają, zależnie od stanu zdrowia organizmu swego, 80 a nawet 90% efektu mechanicznego z materjału, strawionego w ustroju żołądkowo-kiszkowo- i t. d. Wobec tego, że przy bliższem rozpatrzeniu się poznałem, że ustrój organiczny jest tak samo maszyną, lecz bez porównania lepiej zaaranżowaną niż maszyna, wykonana ręką ludzką, wnet doszedłem do wniosku, że klucza do poprawy maszyn, pracujących w prak-

tycznej technice należy poszukać w procesach biochemicznych żyjących organizmów.

Po żmudnem badaniu i szukaniu przekonałem się, że nietylko technika, lecz też i nauka fizjologji znajdują się na błędnej drodze, materjały bowiem opałowe jak również i środki spożywcze, stałe czy też płynne, nie zawierają w swojem jestestwie materjalnem żadnej energji kinetycznej ani kalorycznej. Energja czyli siła może być utajona jedynie tylko na powierzchni drobin materji, znajdującej się w stanie eterycznym, gazowym lub też parowym, w materji zaś żyjącego organizmu — wyłącznie tylko w gromadzących energję komórkach organicznych. Stan eteryczny jest już zasadniczo stanem promieniującym, który odznacza się największym zasobem energji, utajonej na jego drobinach materjalnych. Równocześnie musiałem się też przekonać mimowolnie, że osoby, otoczone aureolą potęgi naukowej, często posiadają już tylko fragmenty tej wiedzy, którą sobie w młodości w tym tylko celu przyswoili, ażeby uzyskać pewien stopień akademicki; a gdy stały już na tym upragnionym szczeblu, to często większa część mądrości akademickiej poszła w szare zapomnienie wśród codziennej walki o chleb powszedni, okazała się bowiem już zbędną w szablonowych warunkach państwowych.

Pierwszorzędnem zadaniem dla mnie było stwierdzić autentycznie, w jaki to sposób można uwolnić utajoną energję z odnośnego podkładu materjalnego, znajdującego się w agregacie gazowym czy też parowym; i przekonałem się wkrótce, że żadna materja nie może przejść w stan lotny, gazowy i t. d., jeżeli prototypowe składowe cząsteczki jej nie mają możności przyjęcia ze swojego otoczenia stosownego zasobu energji — więc też vice versa, prototypowe składowe cząsteczki materji pozbywają się swojej zawartości energetycznej, przechodząc ze stanu gazowego w stan stały lub też płynny.

Zupełna analogja istnieje też z ładunkiem elektrycznym o pewnem napięciu, utajonem na powierzchniach błonek baniek pary, mieszczących się w określonej przestrzeni. W miarę kon-

densowania się pary wzrasta napięcie elektryczne i udziela się swemu otoczeniu w formie energetycznego promieniowania; w razie zaś raptownej kondensacji pary wodnej na wodę, wzrost napięcia elektrycznego objawia się w formie wybuchu czyli wyładowania elektrycznego; skondensowana woda bowiem nie może zawierać w swoim składzie materjalnym takiego samego zapasu ciepła i elektryczności, jaki zawierała w stanie parowym, odpowiadającym większej przestrzeni, zajmowanej przez wodę, oraz większej powierzchni jej, będącej sumą powierzchni błonek poszczególnych baniek pary, aniżeli w znacznie mniejszej przestrzeni zamknięta skroplona woda, płynna czy zamarznięta. Na tej podstawie każdy proces palenia przedstawia się jako proces skupienia się materji eterycznej, odpowiadający skupieniu się stanu gazowego lub parowego na stan stały lub płynny, a proces ten bardzo dobrze obserwować można w czasie łączenia się tlenu z węglem.

Jeżeli powstrzyma się wszelką utratę uzyskanego ciepła, to uzyskany przy procesie spalenia kwas węglowy rozpadnie się znowu na tlen in statu nascendi i na węgiel w proszku o połysku srebrzystym, którego niektóre grudki, o nader twardej spoitości, podobnie jak diament rysują szkło.

Z tych doświadczeń wynika, że także cały dla procesu biomechanicznego niezbędny zapas energji może być przyswojony przez dany organizm jedynie i wyłącznie tylko zapośrednictwem materjału eterycznego lub gazowego, więc powierzchnia kwadratowa płuc, a raczej alweoli płucnych, obejmująca około 90 metrów kwadratowych, i kolosalna powierzchnia, obejmująca około 4300 metrów kwadratowych, erytrocytów krwi, krążących w alweolach płucnych, tworzą oczywistą podstawę do przyjmowania energji z powietrza atmosferycznego, niezbędnej dla podtrzymywania stałego procesu życiowego. Odczuwanie świeżości powietrza wskazuje na energetycznie zwiększoną wartość powietrza, ono bowiem także ulega bezustannie fizycznym zmianom pod czynnym wpływem promieni świetlnych. Słońce, prześwietlając całą atmosferę ziemską, bezustannie regeneruje

ją; w przeciwnym razie zamarłoby wkrótce całe życie na ziemi i ustałaby możność odbywania się wielu procesów chemicznych.

Już Berceljusz starał się poznać, na czem polega świeżość powietrza atmosferycznego, lecz wszelkie jego badania w drodze chemicznej okazały się bezowocnemi.

Dopiero moje mozolne doświadczenia wykazały, że świeżość powietrza polega wyłącznie na zmianach fizycznych, przy których wchodzące w skład powietrza gazy uzyskują większą potęgę energetyczną. Zmiany te wywołane zostają przez potężne promienie świetlne względnie energetyczne, przenikające warstwę powietrzną. Nader znamiennym jest fakt, że tlen jest gazem paramagnetycznym, podlegającym wpływowi magnetyzmu ziemi. Wobec tego, że erytrocyty krwi zawierają żelazo, stają się one same magnesami pod wpływem magnetyzmu ziemi i wskutek tego wydatnie przyczyniają się do porywania tlenu w skład krwi. Oprócz tego procesu respiracyjnego cała powierzchnia żyjącego ciała bezustannie okluduje czyli pochłania cząsteczki gazowe otaczającej atmosfery, naciskającej na każdy kwadratowy centymetr płaszczyzny ciała żyjącego z siłą około jednego kilograma, zależną od każdoczesnego stanu ciśnienia atmosferycznego, tak dającego się we znaki osobom reumatycznym i z sił wyczerpanym.

Mniej więcej z tem przygotowaniem naukowem zabrałem się do badania tego zadania, poruszonego przez doktora Oskara Widmana, a zaraz na wstępie stwierdziłem, że ssanie serca jest zupełnie błędnym poglądem naukowym. Jeżeli bowiem nastąpić ma proces ssania czyli jak Torricelli stwierdził, ciśnienia powietrza na płyn, zawarty w rurze, to rura, w której nastąpić ma ssanie (!!), musi być na jednym swym końcu zupełnie otwarta, ażeby nacisk powietrza mógł być tam czynny. Akademicki bowiem „horror vacui", jakiby usprawiedliwiał ssanie serca, nie istnieje już od czasu, gdy Torrcelli stwierdził istotę ciśnienia powietrznego. Gdy wynik mojego badania zakomunikowałem dr. Widmanowi, poskrobał się on za uchem i parsknął śmiechem. — Ależ człowieku! Jeżeli ewakuacja przez serce jest

niemożliwa, to jakimżeż cudem dostaje się krew z wen czyli żył do serca — chyba że nacisk serca przeciska ją do żył z tętnic czyli arteryj przez naczynia włoskowate. Zresztą poczynam też pojmować, że gdyby serce rzeczywiście ssało, to ściany żył musiałyby być też znacznie grubsze i sztywniejsze, jak to ma miejsce przy gumowych sączkach pomp, które usztywnione bywają nawet spiralą metalową.

Rozpoczął się długi okres badania. Należało stwierdzić, czy ciśnienie w tętnicach, wywarte działaniem serca, rzeczywiście wystarcza, ażeby przecisnąć krew z tętnic przez naczynia włoskowate do żył. Poczynione doświadczenia wykazały, że to należy do niemożliwości, nacisk bowiem krwi, wywołany działaniem serca, wynosi w aorcie maksymalnie około $^1/_3$ atmosfery, t. j. 33 dekagramów na jeden kwadratowy centymetr, gdy tymczasem opór, na jaki czysta destylowana woda napotyka w przewodach włoskowatych, jest tak potężny, że zachodzi konieczność podniesienia ciśnienia do 14-tu atmosfer blisko, żeby wogóle woda przesączała się przez system naczyń o czterech mikronach kwadratowych przekroju każdego z nich. Do prawidłowego przeto krążenia krwi potrzebaby mechanicznego nacisku co najmniej około 30 atmosfer, t. j. 3000 dekagramów na kwadratowy centymetr, więc około sto razy więcej, niż wynosi rzeczywiste ciśnienie krwi w przewodach arteryjnych. Odnośne cyfry uzyskano zapośrednictwem specjalnie zbudowanego przyrządu, opatrzonego w pompę cisnącą i manometr kontrolny.

Wynik tych doświadczeń wyprowadził zupełnie z równowagi dra Widmana, ja zaś męczyłem się kilka tygodni, poczyniłem znaczne wydatki na różne przyrządy i zamiast osiągnięcia pozytywnego wyniku, doszedłem do jeszcze większego powikłania całego problemu. Jednakowoż przy mojej uporczywej wytrwałości nie dałem jeszcze za wygraną. Gdy z pompą cisnącą nie doszedłem do wyniku, utorowałem sobie odmienną drogę. Wiedziałem już o tem, że dwa różnorodne rozczyny starają się wzajemnie przeniknąć i to często dążność ta występuje z niezwykłą potęgą.

Skonstruowałem więc taki aparat, ażeby można było wymieniać membranę kapilarną, dzielącą rozczyny od siebie, i opatrzywszy zamkniętą stronę manometrem, nalałem czystej destylowanej wody jednakowo wysoko po jednej i po drugiej stronie membrany. Po kilku godzinach spokojnego stania płynu nie zauważono żadnej zmiany w jego stanie.

Następnie dano po jednej, otwartej, stronie kilka kropel alkoholu, a wkrótce zauważono, że płyn przesącza się przez membranę i że ciśnienie wzmaga po stronie, opatrzonej w manometr.

Powtórzono to doświadczenie z różnemi chemikaljami i przekonano się, że każda różnica składu chemicznego wywołuje pewne ciśnienie, nie wykluczając znanych lekarstw, jak digitalis, strofantum, teobromina i t. d. i t. d., rozczyn soli, cukru i t. d. Dalsze badania wykazały, że przy zastosowaniu czystej wody i nadaniu jej pewnego potencjału elektrycznego ciśnienie podniesie się, jak przy różnicy składu chemicznego płynu po obu stronach membrany. Jednakowoż jeżeli pozostawiono tylko czystą wodę, a podniesiono po jednej stronie ciśnienie zapomocą pompy kompresyjnej, to skutek był ten, że ujawniła się różnica potencjałów elektrycznych pomiędzy jedną i drugą stroną. Uważałem wszystkie te wyniki za dodatnie i oświadczyłem, że podane przez Harveya objaśnienie krążenia krwi w organizmie nie jest dokładne, że ważne jest wyłącznie tylko do obszerniejszych naczyń krwionośnych, że natomiast dalszy ciąg krążenia krwi przez naczynia włoskowate do żył i następnie do serca polega wyłącznie na działaniu, wynikającem z osmotycznego ciśnienia, uzasadnionego różnicą składu chemicznego krwi — lub też prawdopodobnie jest skutkiem różnicy potencjałów elektrycznych krwi, tętnic i żył. Te poglądy moje na przyczyny krążenia krwi zostały przez ówczesnych koryfeuszów zaraz na wstępie haniebnie skrytykowane, a P. T. Napoleon Cybulski, prof. fizjologji na Uniwersytecie Krakowskim, zbył moje zapatrywania na tę sprawę w sposób obraźliwy. All right! — Poruszając sprawę krążenia krwi, nadmieniłem, że ułatwiające je lekarstwa, jak digitalis, strofantus i inne,

wcale nie działają na mięsień sercowy, lecz podnoszą tylko ciśnienie osmotyczne, że przeto skoro tylko środki te przedostają się do krwi i po drugiej stronie naczyń włoskowatych, skuteczność ich staje się problematyczną.

W owym czasie zbudowałem własnemi siłami i przemysłem maszynerję do dynamoelektrycznego oświetlenia nowozbudowanej sali sejmowej we Lwowie, pomimo że elektrotechnika, jako niemowlę, spoczywała jeszcze wówczas w kołysce, brakowało bowiem wszelkiej technicznej literatury w tym kierunku. Instalacja ta miała też, jak to się zawsze zdarza przy nowych, jeszcze nie wypróbowanych należycie wynalazkach, swoje dziecięce niedomogi, które zmusiły mnie do żmudnych badań i kosztownych poprawek, przeprowadzanych przeważnie po nocach. Pewnego razu w ciągu takiej nocnej pracy zauważyłem zjawiska, które mnie naprowadziły na domysł, że działania elektryczne są skutkiem czynności jakiejś dziwacznej, nieznanej materji, że onato, przesuwając się lub też rozprzestrzeniając po powierzchni przewodów izolowanych, wywołuje owe objawy fizyczne, które ścisła nauka nazwała elektrycznością, a raczej objawem galwanizmu.

Na podstawie nader niebezpiecznych, przykrych i kosztownych doświadczeń udało mi się schwytać tę materję i przypatrzeć się bliżej temu nader lotnemu gościowi ziemskiemu, w którym rozpoznałem podstawowy czynnik wszechświatowej energji prototypowej, która znajduje się nietylko na powierzchni drutów czy przewodów elektrycznych, lecz rozmieszczona jest wszędzie, w całej atmosferze ziemskiej i tworzy sfery energetyczne na powierzchniach wszystkich ziemskich mas materjalnych, posiada też wszelkie cechy materji, wymagającej przestrzeni trójwymiarowej, tworzy krople elastyczne poniekąd, które roztarte na subtelny pył, reprezentują istotę światła dziennego.

Chodziło mi teraz o to tylko, żeby uzyskać możność pochwycenia tej materji w łatwiejszy i mniej niebezpieczny sposób. Po wielu wysiłkach i trudach udało mi się to poczęści. Jak-

kolwiek usiłowania moje połączone były z ciągłemi niepowodzeniami, wielkiemi kosztami oraz przeszkodami technicznemi, zbudowałem wreszcie taką maszynę, która skutecznie działała bodaj przez krótki przeciąg czasu. Uzyskałem możność poczynienia różnych doświadczeń z tym prawdziwie cudownym czynnikiem.

Odnośne doświadczenia były tak zajmujące, że bez wytchnienia, całemi nocami i dniami, eksperymentowałem przy mojej maszynie i wykonałem dość pokaźną ilość przeróżnych przyrządów w celu wybadania własności, jakie posiada ten nowoodkryty przeze mnie czynnik. Spostrzeżenia moje zaraportowałem Akademji Umiejętności w Krakowie, Rzymie, (Academia lincei), Stockholmie, Petersburgu i Filadelfji. Namówiono mnie i na odczyt w Lwowskiem Towarzystwie Politechnicznem, który się też odbył w sali fizyki Szkoły Realnej przy ulicy Kamiennej za czasów profesora Soleckiego. Na odczycie tym zaatakowałem prawo Izaaka Newtona, że ono niezupełnie odpowiada prawdziwemu stanowi rzeczy, stan grawitacyjny bowiem nie może być nieodłączną własnością bezwładnej i opornej materji. Materja pośredniczy tylko w działaniu grawitacyjnem, a jeżeli przyciąganie ciał planetarnych proporcjonalne jest do ich mas, jest to tylko dowodem, że planety, otrzymując z jednego źródła, t. j. słońca, swoją energję grawitacyjną, o tyle tylko są w stanie przetransformować ją na energję grawitacyjną, o ile opór materjalny ich mas może się przyczynić do kinetycznej czynności promieniującej siły słonecznej.

Laurów wcale wówczas nie zbierałem, jedynie po roku dowiedziałem się od profesora matematyki, Placyda Dziwińskiego, że znalazł się jakiś uczony, który rachunkowo czyli matematycznie wykazał podobny wynik, że mianowicie prawo Newtona rzeczywiście nie posiada pełnej wartości poza obrębem systemu słonecznego, zasadniczo bowiem materja bezwładna i oporna nie może równocześnie posiadać własności przyciągania, jest więc zasadniczo bezważka, a objawy ważkości jej dadzą się wy-

tłumaczyć jedynie tylko jako skutek energetycznego promieniowania słonecznego, kinetycznie czynnego w oporze mas materjalnych.

Pewnego dnia, gdy byłem zajęty doświadczeniami z dziedziny mego odkrycia, zjawił się w mojem laboratorjum przyjaciel mój, inżynier Bodaszewski, który w swoim czasie jako asystent zastępował na Politechnice lwowskiej P. T. profesora fizyki, Strzeleckiego, jako tymczasowy prelegent fizyki.

Mówił mi, że wrócił z Wiednia i że tam wykonywał dla hrabiego Lanckorońskiego pomiary, przy których się zaziębił i cierpi obecnie na szalone bóle ostrego reumatyzmu, głównie w jednej ręce i w plecach, że nie spał już dwie noce, że zażył już sporą dozę różnych lekarstw i proszków antireumatycznych, po których jednak nie doznał żadnej ulgi w swoich cierpieniach.

Zobaczywszy moją maszynę, którą właśnie eksperymentowałem, zaproponował mi, żebym spróbował działania wydzielanych przez nią promieni na jego cierpienia reumatyczne. Śmiałem się z niego, że chce udawać króliczka probierczego, lecz jemu nie było wcale do śmiechu i nalegał natarczywie, żebym tę próbę na nim wykonał na jego odpowiedzialność.

Ostatecznie dałem się namówić i ściągnąłem z niego ostrożnie czarny anglez i kamizelkę; nie obyło się przy tej pierwszej operacji bez ciągłych żałosnych jęków.

Naświetliłem mu łopatkę, ramiona i całą rękę; na ramieniu zauważyłem znaczne nabrzmienie. Po 10-cio minutowem blisko naświetlaniu nabrzmienie ramienia poczęło się zmniejszać, a na mięśniach całej ręki wystąpił obfity pot w kroplach oraz powstało tak mocne swędzenie, że począł gwałtownie nacierać rękę ręcznikiem, żeby się pozbyć tego uczucia. Po upływie około 20-tu minut oświadczył, że go już nic nie boli, znikło też zupełnie i nabrzmienie ramienia. Ten człowiek tak się ucieszył, że wychodząc, zapomniał u mnie swój zegarek, a gdy drugiego dnia przyszedł po niego, oświadczył, że mu wszelkie bóle ustąpiły i że czuje się zupełnie zdrowym.

Tego samego dnia, wieczorem, byłem na odczycie doktora czterech falkutetów, p. Kobylańskiego, który między innemi zajmował się też i budową samolotów oraz dających się sterować balonów. Tam spotkałem się z doktorem med. Stellą Sawickim, inspektorem szpitali krajowych, któremu zakomunikowałem całe zajście z p. Bodaszewskim i poprosiłem go równocześnie, żeby zechciał mi wytłumaczyć, na czem właściwie polega niedomóg reumatyczny. Mówił mi, że medycyna nie wie jeszcze dokładnie, co jest przyczyną tych cierpień i domyśla się tu działania jakichś bakteryj. Wówczas w tej sprawie oświadczyłem mu, że ja wyrobiłem sobie własne zdanie, oparte na spostrzeżeniach, poczynionych w czasie naświetlania p. Bodaszewskiego; sądzę mianowicie, że cierpienia reumatyczne, świeżo nabyte przez zaziębienie, są objawem zwężenia się lub zatkania naczyń włoskowatych, a odczuwany w chorem miejscu ból i parcie powstaje wskutek zatrzymania się krążenia soków ożywczych w zaziębionej części ciała. Wskutek naświetlania powstaje wyższy potencjał elektryczny, a z nim razem spotęgowany nacisk osmotyczny, co powoduje, że krążenie soków wraca do stanu normalnego.

Na to otrzymałem odpowiedź P. T. doktora, że i tak być może.

Nadmieniam tu, że większa część objawów niby reumatycznych nie jest niemi, a powstaje nie wskutek zwężenia się naczyń włoskowatych, lecz rzeczywiście wskutek zatkania się ich przez mikroskopijne cząsteczki kwasu moczowego, które u wielu osób w późniejszym wieku z powodu niedostatecznego zasobu aktywnego tlenu w krwi toksynują cały organizm.

Dalszemi osobami po p. Bodaszewskim, które zaryzykowały próbę poddania się działaniu mej maszyny, był hr. Łubieński, a następnie hr. Michałowski, starosta jasielski, skierowany do mnie przez dra Jordana z Krakowa. Po skończonem naświetlaniu został hr. Michałowski zbadany przez dra Lesława Gluzińskiego, który stwierdził usunięcie się kilku gruczołów i znaczną poprawę działania serca; zniewoliło go to do uwagi, że hrabia odmłodniał.

Pewnego dnia po wizycie powieściopisarza Sienkiewicza przybył też do mnie namiestnik Galicji, Eustachy ks. Sanguszko, z żądaniem, ażebym i jego naświetlił, bo i on cierpi na reumatyzm. Prosiłem, ażeby się dał zbadać przez jakiego lekarza i postarał się o polecenie lekarskie, bez którego nie miałbym odwagi robić na nim prób moich.

Pomimo że książę był nader spokojnego usposobienia, na żądanie odpowiedział dość szorstko, że on nie potrzebuje lekarza, sam bowiem dobrze jest świadom, co mu brakuje, że zresztą jako namiestnik żąda ode mnie, żebym go naświetlił bez tych urzędowych ceregieli.

Naświetlałem go przez półtrzecia miesiąca codzień po 15 do 20 minut, zwyczajnie w toku naświetlania popadał w sen i spał, nie ruszając się z miejsca, gdzie go naświetlałem, za każdym razem około 30 minut; gdy się obudził, mówił, że o mało nie usnął. W toku dalszych naświetlań przyznał się, że chodzi mu nie o wyleczenie z reumatyzmu, lecz o spotęgowanie popędu płciowego (łatwo osiągnąć to przez spotęgowanie procesu życiowego). Cel został osiągnięty po sześciutygodniowem codziennem naświetlaniu.

Przy dalszem naświetlaniu prowadziliśmy dość ożywione rozmowy, a gdy książę sprowadził do Tarnowa kata z Wiednia w celu nastraszenia tamtejszych chłopów, którzy rozpoczęli rewoltę przeciw żydowskim szynkarzom i wszystkim tym elementom, które uważali za swoich wyzyskiwaczy, mimowolnie zachowałem się niepolitycznie, zauważając, że taki środek represyjny tyle znaczy, co straszenie dzieci kominiarzem, że byłoby lepiej zbadać należycie przyczynę rewolty i postarać się o radykalne usunięcie zasadniczej przyczyny, o zabezpieczenie chłopstwa przed wyzyskiem szalbierzy i szachrajów żydowskich.

Wobec tego, że sprowadzenie kata było osobistym pomysłem księcia i że książę był filosemitą, zagniewał się na mnie i więcej do mnie nie zawitał, tak że ja pozostałem bez jakichkolwiek wiadomości co do wyniku naświetlań księcia.

Dopiero w kilka miesięcy później był u mnie hr. Jan Tarnowski z Dzikowa, którego brat też się u mnie naświetlał, od niego dowiedziałem się, że księżna znajduje się w stanie błogosławionym, że kuracja jej męża dobrze poskutkowała.

Następnie zostałem wezwany telegraficznie przez barona Natanjela Rothschilda do Wiednia, gdzie miałem odczyt w hotelu Imperial w salonie hrabiego Antoniego Wodzickiego, w obecności obu Rothschildów, Alberta i Natanjela, Księcia Lichtensteina, hrabiny Larisch, ówczesnego ministra Galicji i innych. Przez pewien czas potem naświetlałem codziennie Natanjela Rothschilda, który będąc zadowolony z przebiegu kuracji, zaproponował mi swoją pomoc finansową. Z pomocy tej jednakowoż nie skorzystałem; odwiedli mnie od niej swojemi obiecankami hr. A. Wodzicki i baron Bourgoing, ówczesny dyrektor Länderbanku, którzy zapewniali mnie, że kosztem Länderbanku otrzymam dobrze urządzone laboratorjum i stosowną płacę, tak że będę mógł dalej spokojnie pracować nad swoim wynalazkiem.

Ci zacni panowie jednakowoż nie dotrzymali danego słowa; nawinął się im bowiem p. Szczepanik, pupil p. Kleinberga i klient dra Monatha, który za ich pośrednictwem sprzedał pewnemu bankowi swój wynalazek rastrowy. Praktycznie pomysł p. Szczepanika okazał się niewykonalnym, lecz przy sprzedaży więcej lukratywnym jak moje odkrycie, wymagające dla sfinansowania go pewnego wkładu.

W dalszym ciągu wykonano w mojem laboratorjum szereg doświadczeń z lues czyli syfilisem w pierwszem, drugiem i trzeciem stadjum pod kierownictwem dermatologa, dra Kazimierza Podlewskiego, byłego asystenta prof. dra Fourniera w Paryżu.

Pomimo że wówczas zakaźnik tej nieszczęsnej choroby, t. j. spirochacta pallida, odkryty przez biologa Schaudina, nie był jeszcze znany, a salversan, wynaleziony przez dra Ehrlicha&Hate nie był jeszcze przystępny dla każdego śmiertelnika, pomimo że nie miano jeszcze wówczas żadnego pojęcia o tem, że vanadium

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

przy zastosowaniu kalium tartrovanadatu, sterylizuje bakterje syfilisa, osiągnięto też niektóre dodatnie wyniki, bowiem pierwsze stadjum zaraz po zakażeniu często znikało bez dalszych następstw, drugie stadjum zwyczajnie opóźniało się o wiele tygodni i gdy się ujawniło, wymagało stosunkowo małej ilości wcierek rtęciowych; nie psuły się też dziąsła, zęby i gardło, wyprysk na podeszwach nie pokazywał się.

Doświadczenia, dotyczące trzeciego stadjum, odnosiły się wyłącznie do tabes dorsalis i mielitis chronica. Zanikłe odruchy nóg często wracały, porażenie pęcherza ustępowało, a często dalszy rozwój choroby został powstrzymany.

Leczenie skurczu pisarskiego było przeprowadzone kilka razy, mianowicie zupełnie wyleczono p. Jarosza, urzędnika bankowego ze Lwowa, którego poprzednio leczyli dr. Kraft-Ebing w Wiedniu, Schrenk-Notzing w Monachjum, a który z rewolwerem w ręku przyszedł do mnie, oświadczając, że się natychmiast zastrzeli, jeżeli ja nie zajmę się leczeniem go z nader przykrego skurczu pisarskiego, który go trapił od wielu lat i odbierał mu możność zarobkowania, gdyż nie był w możności wykonać nawet podpisu swego, a lecząc się u różnych koryfeuszów europejskich, nietylko nie pozbył się skurczu, lecz dostał go i w lewej ręce. Po dłuższem badaniu i próbowaniu znalazłem ostatecznie siedzibę tej słabości w rdzeniu pacierzowym, o ile pamiętam, w piątym czy szóstym kręgu od dołu, była to pozostałość z urażenia rdzenia przy upadku w młodszych latach. Przy jednomiesięcznem naświetlaniu rdzenia pacierzowego ustąpił skurcz w rękach jak najzupełniej i nie wrócił już więcej.

Później miałem jeszcze trzech chorych na skurcz pisarski; pamiętam tylko jedną z tych osób, był to generałmajor Lahousen-Viwmont, bardzo zacny człowiek, który nabawił się swej choroby w Akademji Wojskowej w Wiener-Neustadt. Po sześciu tygodniach naświetlania rdzenia i mięśni ręki ustąpiła ta uporczywa choroba.

Pewien tutejszy młody lekarz urządził sobie ze mną następujący niesmaczny żart. Profesor chemji na tutejszym uniwer-

sytecie, dr. Radziszewski, miał legawego psa, którego leczono przez kilka miesięcy w Akademji Weterynarji na atrofję jednej tylnej nogi; pies, pomimo leczenia, ciągle kulał na trzech nogach a czwarta wisiała przy tułowiu jak szmatka. Ów panicz poradził panu Radziszewskiemu, żeby posłał psa do mnie na kurację. Gdy przyprowadzono mi psa, dr. Podlewski, który w owej chwili był u mnie w laboratorjum, nakazał wyrzucić psa, uważając przysłanie go do mnie za niecne kpiny ze strony lekarza.

Ja jednak podjąłem się leczenia tego psa, postanowiwszy w gładki sposób wykazać lekarzowi-kpiarzowi jego nietakt i nieudolność. Urządziłem sobie klasyczne doświadczenie. W kilka dni wyleczyłem psu porażoną nogę, a natomiast sztucznie poraziłem przeciwną i odesłałem psa prof. Radziszewskiemu znowu o trzech tylko zdrowych nogach, nadmieniając, że stosownie do życzenia pana profesora wyleczyłem psu chorą nogę najzupełniej, jednakowoż pozwoliłem sobie porazić zdrową nogę w tym celu, aby ten lekarz, za poradą którego przysłano psa do mnie, także miał sposobność do popisu i wyleczeniem porażonej nogi zadokumentował swoją wiedzę lekarską.

Pan Radziszewski napisał błagający list, ażebym się nie mścił na psie, który nic nie zawinił, i że ów przemądry doktór medycyny nie jest w stanie naprawić zepsutej przeze mnie nogi.

Po upływie czterech dni odesłałem psa zpowrotem na czterech zdrowych nogach i muszę też przyznać, że pies ten był może najwdzięczniejszym i najwyrozumialszym pacjentem, jaki kiedykolwiek naświetlany był u mnie.

Z tabes dorsalis było później jeszcze kilka osób. O ile choroba ta była w stanie początkowym, to wkrótce wracały odruchy w nogach i dalszy rozwój choroby zostawał wstrzymany.

Z mielitis chronica zdarzył się następujący fakt:

Przybyła do mego laboratorjum pani Zawadzka, żona sekretarza ówczesnego c. k. Namiestnictwa, prowadzona przez dwie osoby, nie mogła już bowiem chodzić o własnej sile Dyrektorem Zakładu dla Nieuleczalnie Chorych im. Bilińskiego

był wówczas dr. Józef Gostyński. Gdy zobaczył u mnie tę panią, zawołał mnie do drugiego pokoju i odezwał się w następujące słowa: „Mój panie, zdawało mnie się, że pan jesteś roztropnym człowiekiem, a tymczasem przekonywam się, że pan jesteś osłem; pan bowiem przyjmujesz do leczenia zupełnie nieuleczalną kobietę i to jeszcze taką, co już dwa lata leżała na moim oddziale w szpitalu nieuleczalnych. — A toś się pan dopiero spisał! Ona ma zupełnie porażony pęcherz i obie nogi i niema najmniejszej nadziei, żeby jej stan mógł się kiedykolwiek poprawić; jest to wybitny typ choroby mielitis chronica.

Po tej lekcji lekarskiej oczywiście posmutniałem, nie wymówiwszy na moje usprawiedliwienie ani jednego słowa, ale postanowiłem brnąć dalej i zająć się sumiennie tą nieszczęsną kobietą.

Po trzytygodniowem codziennem naświetlaniu, trwającem za każdym razem po 15 do 20 minut, nastąpiła poprawa pęcherza moczowego, aparat, który od kilka lat nosiła, stał się zbędnym, a po dalszych trzech tygodniach naświetlania, rozpoczęły się próby samodzielnego chodzenia, — początkowo bardzo niepewne, lecz wkrótce coraz poprawniejsze. Cieszyłem się niezmiernie, gdy widziałem, jak balansując, powoli przechodziła przez pokój bez obcej pomocy.

Domownicy jej ponoś bardzo się przestraszyli, gdy ujrzeli, jak ona wczesnym rankiem wprost z łóżka poczęła maszerować do kuchni.

Raz zagadnął mnie szyderczo P. T. doktór Gostyński, czy mam pociechę z pani Zawadzkiej.

Poprosiłem go do mojego laboratorjum, gdzie właśnie się znajdowała, i pokazałem mu, że powoli przechadza się po pokoju i że aparat moczowy, a zdaje się i nadany mi tytuł osła, stał się zupełnie zbędnym. Stan zdrowia tej kobiety poprawił się niezaprzeczenie.

Wówczas dopiero buchnął doktór gniewem, że łatwo jest gadać o wyleczeniu, osoba ta bowiem nie mogła być chorą na mielitis, tylko była histeryczką, gdyż inaczej nie mogłaby na-

stąpić taka znamienna poprawa zdrowia. — Dobrze, panie doktorze, — odrzekłem — słuszneby to było, gdyby poprzednio zwiększone odruchy nóg nie były się też zmniejszyły, a zresztą nie jest też i to do wytłumaczenia, że w ciągu tych dwóch lat, które chora przeleżała na oddziale dla zupełnie nieuleczalnych, żaden z lekarzy nie zauważył, żeby to mogła być histerja i to jeszcze po takiej chorobie, która najczęściej sprowadza tabes lub też mielitis.

Wprost wściekał się doktór na mnie i trzasnąwszy drzwiami, wyszedł bez pożegnania.

Było w mojej obserwacji jeszcze kilka dalszych przypadków tak mielitis, jak też i tabes dorsalis; w każdym z nich okazały się po pewnej ilości naświetlań znamiona poprawy stanu zdrowotnego.

Z Monachjum przybyła do Lwowa p. Zalewska, żona właściciela dóbr z Kijowa, któremu telegrafowano, ażeby odebrał swoją chorą żonę z sanatorjum z powodu pojawienia się oznak bliskiego końca jej życia. — Moi ówcześni spólnicy za poradą doktora I. Gostyńskiego sprzeciwili się przyjęciu do leczenia tej pani ze względu na jej groźny stan zdrowia; serce jej bowiem miało tętno 140 na minutę, nogi były bardzo opuchnięte, szyja obrzmiała, oczy wysadzone poza oprawę, co razem świadczyło, że morbus Basedowei rozwinął się u niej jak najlepiej pomimo zażywania teroidiny i dermaliny. — Była to kobieta w posuniętym już wieku, matka kilkorga dorosłych dzieci. Miałem współczucie dla niej w jej rozpaczliwym stanie i zaproponowałem leczenie jej na własne ryzyko. — Spólnicy moi zgodzili się na to, ostrzegli mnie jednak, że jeżeli ta kobieta umrze, to ja mogę za moje współczucie przesiedzieć się w więzieniu, że taka tylko społeczna nagroda oczekuje mnie za moje objawy dobrego serca!!

Wobec tego zażądałem od mojej nowej klientki, żeby się porozumiała z jednym z lekarzy lwowskich co do prowadzenia kontroli leczenia i codziennego spisywania jego wyników w osobnej książce, tak aby był dokument, na podstawie którego moż-

liwa byłaby ocena moich zabiegów. Zaopiekował się nią początkowo dr. S..., lecz wkrótce pomiędzy nim a chorą nastąpiło nieporozumienie i miejsce dra S. zajął dr. Zygmunt Aschkenazy, który rzeczywiście z całą sumiennością obserwował i kontrolował wszelkie zmiany i zapisywał je w osobnej, przeznaczonej do tego celu książce. Stopniowo poczęło się poprawiać tętno, opuchlizna nóg zmniejszała się, gruczoł tarczykowy zmalał, a bulbusy ócz cofnęły się do swoich osad. Po cztero czy pięciotygodniowem naświetlaniu zmiana zdrowia była tak wybitna, że lekarz uznał tę panią za zdrową. Pamiętam, że tętno miała wówczas jeszcze około 80 na minutę. Pani ta wkrótce wyjechała do swego domu w Kijowie, gdzie żyje dotąd, będąc mnie wdzięczna za uratowanie jej życia i zdrowia.

W jeden czy dwa tygodnie po jej wyjeździe zgłosiło się do leczenia czterech panów, których zbadał dr. Gostyński i polecił naświetlenie ich jako rzekomo chorych. Niechętnie zgodziłem się na to, według mojego bowiem zdania były to zupełnie zdrowe osoby. Jeden z tych panów, którego osobiście naświetlałem, był rosłym, dobrze zbudowanym mężczyzną, w sile wieku, robił na mnie wrażenie bardzo zdrowego człowieka, zapytałem go więc, w jakim celu naświetla się. Na to pytanie uśmiechnął się i przedstawił się mnie, że jest doktorem Ruszczycem z Kijowa i że wraz z innymi trzema kolegami, dr. Fifickim, X i Y, wybrał się do Lwowa, ażeby zapoznać się ze sposobem leczenia, który uzdrowił panią Zaleską, od dłuższego już czasu ich pacjentkę. Oświadczyłem, że wcale niema potrzeby bawić się wobec mnie w ciuciubabkę, że ja jak najchętniej zapoznam ich z tym sposobem i pokażę cały przebieg leczenia, jak go zanotował dr. Aschkenazy. Równocześnie nadmieniłem, że według mego zdania przyczyna choroby leży nietylko w zmianach, zachodzących w gruczole tarczykowym, lecz głównie w niedomogu nerwu sympatycznego.

Uderzał fakt, że obcy lekarze przyjechali, ażeby się zapoznać z tym dotąd nieznanym sposobem leczenia, podczas gdy lwowscy lekarze starali się usilnie, ażeby doświadczenia

lecznicze w laboratorjum mem zostały urzędowo zabronione, jakkolwiek nie naświetlałem żadnego chorego, któryby nie był uprzednio zbadany przez lwowskiego lekarza i nie posiadał lekarskiego zezwolenia na poddanie się naświetlaniu. Byli to przeważnie obcy, nieuleczalnie chorzy, którzy nietylko przywozili tysiące do Lwowa, lecz przyczyniali się też do poprawienia pekunjarnego stanu P. T. lekarzy, do których ja ich przecież stale odsyłałem.

Ta specjalna troskliwość o dobro publiczne pewnej grupy lekarzy lwowskich wcale nie licuje z poczuciem ludzkości, owszem rzuca poniekąd dziwne światło na humanitarność, kierującą ich zacnemi czynami, na podstawie których prawdopodobnie nie zdobywa się pozłacanych laurów zawodowych.

Miałem też w leczeniu inżyniera chemji dra Tuchołkę, który za kilku nawrotami przyjeżdżał do Lwowa. Objawom mielitis towarzyszyły u niego objawy, podobne do otrucia strychniną, resztki bezskutecznej kuracji w Kairo. U niego nietylko nogi, lecz i ręce uległy paresie. Po pewnym czasie nastąpiła u niego o tyle poprawa, że był w możności posługiwać się własnemi rękami przy jedzeniu i pisaniu oraz mógł wlec się ostrożnie na swych zniedołężniałych nogach po pokoju, co początkowo zupełnie było niemożliwe, nie był on bowiem nawet w stanie obrócić się o własnych siłach w łóżku.

Od profesora dr. Kórczyńskiego z Krakowa przybył do Lwowa zamiast na Rywjerę p. Janowski, właściciel Falejówki, staruszek z objawami ogólnego upadku sił życiowych. Po kilku naświetlaniach podniósł się stan jego sił tak dalece, że mógł on wykonywać stosunkowo dalekie piesze spacery. Gdy następnie powrócił do Krakowa i ponownie zgłosił się u profesora dra Kórczyńskiego (miał oznaki uwiądu starczego), poradził mu, żeby ponownie wracał do Lwowa w celu kontynuowania kuracji, gdyż efektu, jaki osiągnął w toku kilku dni we Lwowie, nie byłby osiągnął na Rywjerze nawet za kilka tygodni. Wkrótce też p. Janowski znów zawitał do Lwowa i zgłosił się u mnie do naświetlania z poleceniem od dra Kórczyńskiego. Wówczas

w laboratorjum mojem ordynował dr. K. Podlewski, który też osobiście zajął się naświetlaniem p. Janowskiego.

Pewnego razu, wszedłszy do pokoju, gdzie naświetlany był p. Janowski, spostrzegłem na stole jakieś niezwykłe okulary, których szkła nie były szlifowane convex ani concav. Na zapytanie moje objaśnił mnie p. Janowski, że okulary te są jego największym skarbem, gdyby bowiem ich nie miał, widziałby wszystko podwójnie, że mało nie zabił się na schodach hotelu w Trieście, gdy mu się okulary zepsuły. Były to pryzmatycznie szlifowane szkła, załamujące promienie światła w poziomie. Pan Janowski bowiem miał porażone jedno oko, z tego powodu zezował w poziomie i widział podwójnie. Dr. Wicherkiewicz w Krakowie radził mu operację porażonego oka, ale mu odradził prof. dr. Fuchs w Wiedniu, polecił natomiast noszenie pryzmatycznych szkieł, które też p. Janowski nosił już 27 lat.

Próbowano też sprostować oko zapomocą prądu elektrycznego, skutek był jednak krótkotrwały. Oprócz wypalenia prądem elektrycznym dziury pod okiem i szalonego bólu podczas elektryzowania nie miał p. Janowski z tych zabiegów żadnych korzyści.

Panie Janowski, — rzekłem — jeżeli pan pozwoli, to ja spróbuję wyprostować pańskie oczy zapośrednictwem promieni eteroidu — i wobec tego, że pan Janowski milcząco się na to zgodził, wziąłem przewód z rąk dra Podlewskiego, skierowałem go najpierw do swoich oczu, a następnie do oczu p. Janowskiego. Doktór Podlewski zerwał się nagle, jakby go żmija ugryzła, i jednym susem był już przy drzwiach. Trzymając rękę na klamce drzwi, głośno zawołał, że nie pozwala na taki eksperyment w swojej obecności. Ja jednakowoż nie reagowałem na to i robiłem dalej, co uważałem za odpowiednie. Również i p. Janowski uspokajał doktora, że procedura ta wywołuje jedynie wrażenie powiewu przyjemnego wiatru i nie sprawia mu żadnego bólu, że nawet widzi już w tej chwili pojedyńczo. Doktór uspokoił się wreszcie, szczególnie gdy zobaczył, że p. Janowski poczyna czytać dziennik bez okularów; niezmiernie zdziwił się z tak raptownej a nieoczekiwanej zmiany. Ja jednakowoż zwró-

ciłem mu uwagę, że nie należy cieszyć się zawczasu, gdyż oko nie jest jeszcze ustalone i po pewnym czasie wróci na poprzednie miejsce. Dawniej już bowiem zauważyłem, że naświetlanie wywołuje na pewien przeciąg czasu skrócenie się kąta widzenia. Cztery czy pięć dalszych naświetlań oka wystarczyło, ażeby się ono ustaliło na równej linji z drugiem i stan ten zachował się nadal. W kilka lat później p. Janowski dziękował mi jak najserdeczniej za nadspodziewaną poprawę oczu, okulary pryzmatyczne stały się zupełnie zbędnemi.

Zawiadomiłem o tym fakcie okulistę, radcę dra Bałabana, który jednak powiedział, że odosobniony przypadek nie decyduje o wartości danego środka. Mnie zaś się zdaje, że znalezienie i jednego tylko wielukaratowego brylantu ma swoją wartość, choćby później w tem samem miejscu znajdowano zamiast brylantów same rubiny, szmaragdy i t. p.

Oddawna już wiedziałem, że promienie eteroidu oddziaływują korzystnie na wzrok, co też na sobie sprawdziłem, po naświetlaniu bowiem mogę przez pewien czas czytać bez okularów wypukłych, których używam oddawna.

Pewnego dnia przyjechał do mnie mister Brougton Wilby, nader miły młody mężczyzna, reporter gazety angielskiej »Morning Post“ i amerykańskiego „New-York Heralda“, i prosił o zademonstrowanie mu wszystkich dotychczasowych moich doświadczeń. Gościł u mnie, o ile pamiętam, co najmniej 14 dni, miał więc dostateczną sposobność zapoznania się ze wszystkiemi odkrytemi przeze mnie zjawiskami. Mówił mi, że wszystko, co u mnie widział, zareportuje tak do „Morning Post“, jak też i do „New-York Heralda“, uważając to, co widział, za nadzwyczajne odkrycia.

Prawdopodobnie mówił szczerze, bo po pewnym czasie zaofiarowali mi Amerykanie przez biuro patentowe cztery miljony dolarów za odstąpienie im w całości mego odkrycia, a gdy ja na propozycję tę nie reagowałem, podnieśli kwotę na $4^1/_2$ miljona.

Wówczas oświadczyłem, że odkrycie moje nie jest do za-

Biblioteka OO. Pominikanów Poznań

płacenia kwotami pieniężnemi, jest bowiem wielkim darem Bożym, którego nie nabywa się za żadne marne pieniądze, że z daru tego powinien w pierwszym rzędzie skorzystać cały naród, do którego należę.

Nazwano mnie fantastą, a raczej warjatem za to, że nie złakomiłem się na proponowaną mi kwotę. Ja jednak nie życzę sobie zaawansowania na giełdziarza lub też lichwiarza procentowego. Moje osobiste potrzeby są nader skromne, nie większe od potrzeb pierwszego lepszego robotnika, a po śmierci można mnie zagrzebać gdzie bądź, choćby nawet na hyclowskiej górze lub też zakonserwować w formalinie, aby późniejsze pokolenia oglądać mogły warjata, co to nie chciał za lichwiarskie grosze oddać wynalazku swego na cele wyzysku ludzkości.

Przez doktora Gałęzowskiego w Paryżu została mi polecona około 14-letnia panna Peletier, ładna dziewczynka o ładnych, lecz od urodzenia już zupełnie nie reagujących na światło oczkach, niewrażliwa była nawet na potężne światło elektrycznej lampy łukowej. Po czterech tygodniach naświetlania rozpoznawała już rysunek na białej porcelanie przy zwyczajnem dziennem świetle, pokazując kontury palcem. Czy odzyskała wzrok całkowicie, nie wiem, wyjechała bowiem z powodów familijnych do domu.

Panna Zofja Teodorowicz z Żółkwi była naświetlana dla poprawienia słuchu, utraconego przez chininę, zażywaną przy leczeniu szkarlatyny. Po sześciutygodniowem bezskutecznem naświetlaniu, które nota bene jej samej osobiście nader dogadzało, wróciła do domu z przyrzeczeniem, że wkrótce znów przybędzie. Nie nastąpiło to jednak więcej, po upływie bowiem kilkudniowej przerwy uzyskała w zupełności utracony słuch.

Brała też naświetlania pewna młoda panna, nazwiskiem Flakowicz, zupełnie głucha, która po pewnym czasie zwierzyła mi się ze łzami w oczach, że pierwszy raz w życiu usłyszała muzykę — „i to było tak piękne!“

Jedno z najciekawszych doświadczeń wykonano też na osobie małej Tasi Kalasznik, córki rosyjskiego inżyniera z Kamieńca Podolskiego. Miała ona około 10 lat, gdy matka przy-

prowadziła ją do mojego laboratorjum. Było to dziecko zupełnie zdegenerowane, karłowate, zezowate, na jedno oko od urodzenia ślepe, jakkolwiek zewnętrzny wygląd był zdrowy, nadomiar złego trapił ją taniec świętego Wita, a to wszystko z tej przyczyny, że ojciec jej był wzorowym alkoholikiem, który potrafił konsumować dziennie po 4 garnce wódki.

Było to za czasów ordynowania dra Gostyńskiego. Gdy on to dziecko zobaczył, wprost oświadczył, że z tej zdegenerowanej poczwarki nie da się nic zrobić; dla zbadania chorego oka, które ciemne było już od urodzenia, posłał matkę z dzieckiem do profesora dra Macheka, zewnętrznie oko miało wygląd normalnego.

Profesor dr. Machek orzekł, że to oko jest zupełnie stracone, bowiem nerw oczny jest nierozwinięty, wszelką kurację uznał za bezskuteczną. Matka jednakowoż nadmieniła, że wskazaneby może było spróbować naświetlania eteroidem. — Czy pan profesor — zapytała — zna ten środek? — Nie znam i nie chcę znać!! — była krótka odpowiedź tego koryfeusza ocznego.

Za moją poradą udała się jeszcze do okulisty, doktora Bałabana, który także uznał, że oko jest stracone, jednakowoż nie był przeciwny próbie z naświetlaniem, zalecał jednak ostrożność, by przy tej sposobności nie uszkodzić oka. Po trzech tygodniach naświetlania przypadkowo spostrzeżono, że oko, które według orzeczenia dwóch wybitnych lekarzy było stracone, zaczęło zupełnie normalnie widzieć, a więc pod wpływem naświetlania nastąpił rozwój zanikniętego lub też nierozwiniętego nerwu ocznego. Gdy matka to spostrzegła, nie posiadała się z radości, jednocześnie tak była oburzona na dr. Macheka, że planowała zamach na całość jego zacnej osoby i okien jego rezydencji.

Przez następne cztery lata rok rocznie przyprowadzała matka swoją córeczkę na dwumiesięczne naświetlanie — taniec świętego Wita znikł zupełnie, tak samo zezowanie tak się zmniejszyło, że zupełnie przestało razić, owszem przyczyniało się do uroku; a gdy dziewczyna doszła do lat 14, wyrosła na tak piękną i nadobną pannę, że nie poznałem jej. Gdy się zgłosiła do ostatniej serji naświetlań, a było to już przed samym ślu-

bem, była o całą głowę wyższa od swojej starszej siostry, i posiadała klasycznie piękną twarz. Przybyła z matką do Lwowa dla zakupu wyprawy ślubnej.

Radziłem jej udać się do lekarza-profesora, ażeby zbadał ówczesny stan jej zdrowia. — Wkrótce wróciła z matką zapłakana, pan profesor bowiem oświadczył, że Tasia ma wadę serca i nie może być więcej naświetlana ani też zamąż iść nie powinna. Namówiłem je zasięgnąć jeszcze rady dra Świtalskiego. Ażeby jednak oznaki błędu sercowego wystąpiły wyraźniej, radziłem matce dopilnować, żeby córka tym razem przed udaniem się do lekarza zgoniła się, zmęczyła.

Wróciły od lekarza rozpromienione; dr. Świtalski bowiem skonstatował tylko nerwowość z powodu zakupna wyprawy, a serce Tasi uznał za zupełnie zdrowe i nie widział najmniejszej przeszkody do zamążpójścia. Obie były nader wdzięczne doktorowi Świtalskiemu za tak dodatnią ocenę stanu zdrowia Tasi.

Po roku przyszła znowu matka Tasi do mnie z wesołą nowiną, że Tasia jest matką, porodziła zdrowego chłopca, sama jest też najzupełniej zdrowa.

Z Kijowa przybyła pani Marja Rogowska, małżonka tamtejszego miljonera, w towarzystwie pani Matyldy, pułkownikowej.

Na sześciu stronicach spisane były wszystkie jej przypadłości, cierpienia oraz roczne wydatki na lekarza, dochodzące do 18000 rubli. Była to stosunkowo młoda jeszcze, przystojna osoba, zakrawająca tuszą na osobę starszą. Na ulicę mogła wychodzić tylko w towarzystwie drugiej osoby, więc pani Matylda stanowiła nieodłączną jej towarzyszkę. Cztery pierwsze naświetlania bardzo ją pokrzepiły i ożywiły. Piątego dnia, była to niedziela, zmienił się jej stan do niepoznania, położyła się do łóżka i narzekała, że musi umrzeć; tętno jednak było regularne, jakkolwiek bardzo słabe. Dr. Świtalski zapisał jej wprawdzie lekarstwo, przypominające kwas pruski, zdaje się, krople laurowe, ale na wieczór polecił rozrywkę w teatrze. Kupiono lożę i wykonano sumiennie i skrupulatnie ordynację lekarską.

Odtąd naświetlano p. Rogowską zamiast raz dziennie przez

10 minut — dwa razy dziennie po pięć minut; naświetlały się też panie wzajemnie i z zegarkiem w ręce rachowały swoje tętna. Stan zdrowia p. Rogowskiej poprawiał się z każdym dniem, ataki, jakie miewała poprzednio, stały się słabszemi i waga ciała korpulentnego zmniejszała się, tak iż uzasadniona była nadzieja zupełnego pozbycia się nadmiaru tłuszczu.

Pewnego dnia panie znów zatrwożyły się mocno, nie uwiadamiając mnie o niczem, posłano po profesora dra W. Bylickiego i proszono o zbadanie pleców jednej z pań, zdaje się, p. Rogowskiej, miał się bowiem ukazać na plecach jakiś groźny czerwony stygmat, obawiały się, czy nie zagraża życiu. Pan profesor zbadał sumiennie całe plecy na śmierć przestraszonej pacjentki i nie znalazł nic niebezpiecznego. Gdy jednakowoż wskazano profesorowi wzbudzające obawy zaczerwienienia, profesor uśmiechnął się i stwierdził, że to tylko ślad ugryzienia przez jakąś potężną wściekłą pchłę. Tableau ogólne. Zapłacono za ordynację i rozstano się w dobrych humorach; groźne niebezpieczeństwo znów minęło.

Pani Rogowska czuła się z każdym dniem zdrowszą i weselszą, aż znowu pewnego dnia zastałem ją zgryzioną i płaczącą. — Cóż to się stało — pytam — znów strasznego? — Proszę pana wyobrazić sobie, — powiada p. Rogowska — mam dopiero 39 lat i od kilku już dni jestem babcią, zamężna moja córka porodziła chłopca!

Parsknąłem śmiechem.

— Panu się łatwo śmiać! — rzekła — miałam lat 14, jak wyszłam zamąż, a teraz zrobiono mnie już babcią.

— Niechże się pani nie gryzie, — mówię — z młodej twarzy pani nikt nie wyczyta, że pani babcią została.

W tym momencie nadeszła pani Matylda i pyta, pokazując palcem na swą twarz. — Nie widzi pan, co się stało?

— Nic nie widzę!

— To pan jest kiepskim obserwatorem, — ja miałam bowiem potężne zmarszczki na twarzy, a już ich nie mam. Również i Marynia pozbyła się zmarszczek, które miała koło oczów.

Przypatrzyłem się uważniej — i rzeczywiście spostrzegłem, że obie panie posiadały czerstwe twarze z ładną cerą; były jak gdyby odnowione. Objaśniły mnie, że wygładziły zmarszczki, naświetlając sobie wzajemnie twarze, spostrzegły bowiem, że proceder naświetlania działa odmładzająco.

Już oddawna o tem wiedziałem, że każda część ciała ludzkiego pod wpływem promieniowania mojej maszyny była lepiej odżywiana, lecz nie przyszło mi na myśl zastosować ten objaw praktycznie do restauracji zwiędłej cery.

Po jednomiesięcznem naświetlaniu ubyło pani Rogowskiej na wadze 21 funtów cłowych, stała się zupełnie zdrową i czerstwą.

W kilka tygodni po wyjeździe ze Lwowa odwiedziła mnie pani Rogowska, aby podziękować za uzyskanie stałego zdrowia.

Spotkawszy raz na ulicy doktora Świtalskiego, poprosiłem go, ażeby mi szczerze powiedział, co on sądzi o chorobie pani Rogowskiej — czy przypadkiem nie było to wszystko razem histerją? Twierdził, że nie, że pod wpływem naświetlania bezsprzecznie zaszły organiczne zmiany, o czem też świadczy tak znaczna utrata na wadze, spowodowana przyśpieszoną wymianą materji, pomimo że furami zajadano tam kawiory, konserwy, konfitury i ciastka bez jakiegokolwiek ograniczenia.

W jakiś czas później p. Rogowska owdowiała i ponownie wyszła zamąż za dra Korf Liwerego, urzędnika państwowej prokuratorji skarbu we Lwowie — naświetlałem wówczas oboje, pomimo że jej nie brakowało nic, ani nawet zdrowego, krzepkiego męża, on zaś posiadał wszystko prawie, co jest konieczne dla nowożeńca i dla stałego zdrowia.

Że każda część składowa ciała żyjącego pod wpływem mego naświetlania lepiej się fizycznie rozwija, na to miałem liczne dowody, zebrane pod kontrolą dra Gostyńskiego: np. u panny Skrochowskiej, krewnej p. Władysława Federowicza z Okna, która z powodu coxitis cierpiała na atroficzny stan nogi, po jednomiesięcznem naświetlaniu nastąpiło zgrubienie nogi o 3 cm; równocześnie noga stała się oporniejszą i sztywniejszą, zgrubienie podeszwy jednego trzewika dla wyrównania

różnicy w długości obu nóg stało się zbytecznem. Panna Skrochowska chodziła już bez znacznego utykania i zaczęła rozpowiadać wszędzie, że noga jej przedłużyła się. To dało zaraz podstawę P. T. doktorom Podlewskiemu, Schrammowi i Gabryszewskiemu do wykpiwania mnie, jakobym głosił, że noga stała się grubszą i dłuższą. Żaden z tych panów jednak nie raczył się przekonać, co zaszło w rzeczywistości.

Przy naświetlaniu ręki, poddanej poprzednio poważnej operacji, wystąpiły u niejakiego p. Majzla z Kijowa dokuczliwe bóle. Pacjent, będąc przekonany, że nastąpiło ropienie wnętrza, pojechał natychmiast do Warszawy do prof. dra Kosińskiego. Dr. Kosiński oświadczył po bliższem zbadaniu, że niema żadnego ropienia, że nastąpiło odłączenie przyrośniętego mięśnia od kości, co się zdarza nader rzadko i to tylko u młodych ludzi. Jeżeli zaś nastąpiło to u starszej osoby pod wpływem opromieniowywania, należy uważać to za cenną zdobycz dla chirurgji.

Po jakimś czasie zawitał do mnie profesor dr. Gabryszewski z pacjentem swoim, hr. Kazimierzem Sobańskim, który też miał atroficzną nogę z powodu nieudałej operacji, uskutecznionej w Frankfurcie, i nosił na nodze dla jej usztywnienia stalowe rusztowanie. Przy naświetlaniach stale towarzyszył hrabiemu dr. Gabryszewski, który często powtarzał, że noga nie może zgrubieć pod wpływem naświetlania.

Po trzech tygodniach naświetlania hrabia począł narzekać, że go stalowa oprawa nieznośnie gniecie. Tłumaczyłem mu, że to pochodzi zapewne od gorąca, pod wpływem którego stalowa oprawa musiała się zeschnąć. Narzekania te słyszał i dr. Gabryszewski.

Po miesiącu hrabia już nie mógł wytrzymać szalonego bólu, jaki mu sprawiała oprawa nogi, a gdy ja znowa powtórzyłem poprzednie tłumaczenie moje, doktór buchnął gniewnie, że tu niema żadnego zeschnięcia, że to tylko noga zgrubła. — Niechże pan doktór nie gniewa się na mnie, — wtrąciłem — ja chciałem tylko usłyszeć z pańskich ust, że noga rzeczywiście

rozwinęła się, i niechże pan doktór z łaski swej powie to też p. drowi Schrammowi, który kpił sobie ze mnie, twierdząc, że noga pod wpływem mego naświetlania nie może zgrubieć.

Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że pod wpływem owego naświetlania następuje zawsze lepsze odżywianie naświetlonych części ciała ludzkiego oraz że zwiędła cera twarzy znakomicie się poprawia, nadając twarzy pozory odmłodzenia się.

Wobec profesora doktora Rydygiera wyraziłem przekonanie, że nie uważam za niemożliwe odrastanie amputowanych części ciała ludzkiego, o ile stworzy się warunki, któreby sprzyjały temu procesowi; wszak rakowi odrastają szczypce i nogi, a jaszczurce ogon.

Profesor Rydygier potwierdził moje zdanie.

— Należy jednak — zaznaczył — postarać się o te warunki.

Odrzekłem, że według mego zdania wcale to nie powinno należeć do trudności — lecz niestety homo sapiens jest najgłupszą, zbydlęciałą istotą, która pieniądze wyrzuca na zniszczenia wojenne, a jeżeli znajdzie się przypadkowo myślący człowiek, to otaczająca go banda współczesnych zwyrodniałych paskarzy, lichwiarzy, żydowskich pasożytów i demoralizatorów zawodowych stara się utopić go w łyżce wody — i to nietylko ci z uczuć ludzkich pozbawieni bogaci głupcy, lecz też i hiperuczeni koryfeusze, którzy się obawiają, ażeby nie utracili aureoli mądrości pod wpływem jakiego rozumniejszego, godniejszego odkrycia.

Była też u mnie w leczeniu z Kaziatyna czy Kazatyna pani doktorowa de l'Arbre ze swoją córeczką Tolusią, było to bardzo miłe, ładne dzieciątko, liczące około 8 lat, było chore na cukrzycę.

Gdy matka po kilkumiesięcznem tournée po różnych doktorach europejskich zawadziła o Lwów, zawitała do mnie i zapytała, czybym się nie podjął spróbować naświetlać Tolusię, której dotąd żaden lekarz nie zdołał uzdrowić. Wówczas ordynował w mojem laboratorjum dr. Borzemski. Zgodziłem się. Po

pewnym czasie analiza wykazała znaczne zmniejszenie się ilości cukru, a po 6-ciu tygodniach nie znaleziono go wcale. W okresie kuracji dziecko jadło kaszkę owsianą.

W dwa lata później Tolusia de l'Arbre umarła na zapalenie płuc.

Młody student Stefański z Ananiowa czy Kamieńca Podolskiego, syn weterynarza, uległ jakiejś nieznanej mi bliżej chorobie znieczulenia nogi. Na klinice w Odesie uznano za jedyny ratunek amputację chorej nogi. Wówczas matka jego w ostatniej rozpaczy wysłała go do mnie. Znała mnie, ponieważ leczyła się u mnie zapomocą naświetlania na padaczkę czyli epilepsję; wynik był niezadowalający, napady bowiem stały się tylko rzadszemi i słabszemi. Po kilku tygodniach naświetlania panu Stefańskiemu rdzenia pacierzowego i chorej nogi okazał się niespodziewany skutek, noga bowiem odzyskała czucie i władzę, a amputacja jej stała się zbyteczną.

Z Krakowa otrzymałem telegram od doktora Surzyckiego, że p. Wanda Humnicka w drodze do Kairo ciężko rozchorowała się w Krakowie i zapytuje, czyby nie mogła przyjechać do Lwowa w celu opromieniowania jej. Jeszcze nie dałem na ten telegram żadnej odpowiedzi, gdy p. Wanda Humnicka, z domu Mazaraki, przybyła do Lwowa w towarzystwie doktora Surzyckiego i doktorowej de l'Arbre. Tego samego dnia o północy konferowałem z doktorem Surzyckim, który mnie uwiadomił, że stan pacjentki jest bardzo groźny i że prawdopodobnie do 24 godzin skończy życie, przy życiu bowiem utrzymuje ją wiara we mnie.

Znając obie panie z dawnych czasów, zająłem się troskliwie p. Humnicką. W owym czasie miałem na wykończeniu nową maszynę, zapomocą której doprowadziłem służące do oddychania powietrze atmosferyczne, czerpane zapośrednictwem pompy poczwórnej z ogrodu i aktywowane przy pomocy promieni świetlnych lub też eteroidalnych, prawie do stanu „in statu nascendi". Tak przygotowane powietrze posiadało zapach bardzo przyjemny i orzeźwiający, jak powietrze w górach po burzy tub też w godzinach rannych przy wschodzie słońca.

U tej chorej osoby anemja była tak rozwinięta, że błony śluzowe ciągle krwawiły, funkcja serca była bardzo słaba, nogi i ręce były popuchnięte. Oddychanie powietrzem, dostarczanem przez nową maszynę, wpływało bardzo dodatnio na stan jej sił i na indywidualne odczucie samej siebie. Stan jej poprawiał się tak szybko, że gdy po kilku dniach zawitał do Lwowa doktór Surzycki, zaszłe zmiany zdumiły go, ale i ucieszyły. Spuchnięte ręce i nogi pozbywały się wody pod wpływem pochłaniających ją okładów, spreparowanych przeze mnie. Gdy serce lepiej już funkcjonowało, opuchlizna znikła zupełnie.

Upłynęło kilka tygodni; zdrowie pacjentki poprawiało się coraz bardziej, obie panie cieszyły się tem zaszachowaniem śmierci, sporządziły sobie nowe ładne ubrania, nie żałowały sobie na różne przysmaki, aż p. Wanda zepsuła sobie żołądek. Było to wieczorem, posłano po doktora, który zaordynował jej lekarstwo o tak wielkiej zawartości preparatu rtęciowego, że po dwóch dawkach tego eliksiru czy nektaru chora popadła w bardzo niebezpieczny stan zdrowia. Uwiadomiono mnie wczesnym rankiem o tem zajściu. Przybywszy na miejsce, odniosłem wrażenie, że zaszło tu niebezpieczne otrucie. Przeczytawszy receptę, spostrzegłem, że lekarstwo zawierało tak silną dawkę preparatu rtęciowego, iż mogłoby położyć nietylko tak wątłą, lecz i silną, zdrową osobę. Zabroniłem trzeciej dawki i poradziłem natychmiast zawezwać lekarza, aby przypatrzył się swojemu dziełu i poradził, co dalej robić z chorą.

Gdy lekarz nadszedł, niezmiernie przeraził się stanem chorej i robił pani doktorowej de l'Arbre wymówki, że pozwoliła na drugą dawkę, gdy spostrzegła skutki pierwszej. Pani de l' Arbre odrzekła, że chciała dać nawet trzecią dawkę, ale nadszedł pan Iks won Chyr i zobaczywszy stan chorej, kategorycznie zabronił dalszego używania tego lekarstwa.

Pan Iks nie ma tu wcale nic do gadania! — odrzekł konsyljarz. Przypadkowo słyszałem całą tę rozmowę z drugiego pokoju i wyszedłszy do lekarza, oświadczyłem, że gdyby chora dostała była trzecią dawkę, to prawdopodobnie nie byłby jej

zastał więcej przy życiu. — Receptę schowałem, — dodałem — a jeżeli pan doktór się nie uspokoi, to zrobię z niej użytek.

Doktór spokorniał i rzekł: „To nie jest nic wielkiego, ja ją klinicznie wyleczę, proszę ją tylko odstawić do sanatorjum dra Soleckiego.

Cały ten dramat odbył się w piątek rano, a w niedzielę p. Wanda była już klinicznie wyleczona — leżała na katafalku. Wszystkie zabiegi, jakie poczyniono w sanatorjum przez doktorów Wiczkowskiego i Soleckiego oraz ich asystentów okazały się bezowocnemi; oddychiwanie tlenem, różne wstrzykiwania, parzenia, ergotyna, buljony, koniaki i t. d., i t. d. nie potrafiły rozżarzyć gasnącego życia.

Wobec tego że zwłoki miały być przetransportowane do Rosji, należało zabezpieczyć je przed przedwczesnym rozkładem. Z powodu jednak stężenia ciała wstrzyknięcie do wnętrza jego środków antyseptycznych było niemożliwe, dlatego też poradziłem obandażować ciało watą, zwilżoną w formalaldehydzie oraz rozlać na dnie metalowej trumny odpowiednią ilość formaliny. Dopilnowałem też hermetycznego zalutowania trumny. Po roku zawiadomiła mnie pani doktorowa de l' Arbre, że była w grobowcu i widziała przez szklane okienko, umieszczone w wieku trumny, że twarz p. Wandzi nie uległa żadnej zmianie.

Ożywiający skutek, jaki wywierała nowa maszyna moja na panią Wandzię Humnicką obudził u prof. dra Wiczkowskiego podejrzenie, że musi być coś na niej, czego szkolna medycyna nie zna jeszcze. Wymógł przeto na mnie przyrzeczenie podjęcia się doświadczeń z tą maszyną na jego oddziale w Szpitalu Powszechnym. Odesłałem więc maszynę do Szpitala Powszechnego, gdzie stała bezczynnie w gabinecie profesora przez kilka tygodni, aż przytłumiłem w sobie niechęć i rozgoryczenie do tych wszystkich akademickich mędrców, co się tak wspaniale przysłużyli p. Wandzi swoją nieomylną wiedzą, aż profesor począł czynić mi wymówki z powodu mojej bezczynności. Dla zachęty przyrzekał, że pokryje ewentualne koszty moje, że sława, jaką przyniosłyby te doświadczenia, przypadnie jedynie mnie

samemu w udziale i t. d. Odpowiedziałem, że nie pragnę żadnej zapłaty ani też nie jestem żądny sławy, że wszystko, co robię ponad swój zawód inżynierski, czynię con amore, wyłącznie dla ludzkości i dla mojego osobistego zadowolenia.

Wkrótce potem przybyłem na odnośny oddział lekarski i prosiłem, żeby wszelkie doświadczenia poczynione były tak wzorowo i tak prowadzone skrupulatnie, jak wymagają tego zasady ścisłej nauki doświadczalnej, gdyż inaczej naukowa wartość takich pobieżnych prób byłaby oczywiście iluzoryczna. O ile pamiętam, było tam 6 asystentów, oprócz których przychodziła jeszcze pewna grupa słuchaczy medycyny. Powierzono mi dwie osoby, u których 15 do 20% płaszczyzny płuc było zaatakowanych gruźlicą. Były to dwie kobiety stosunkowo jeszcze młode, jedna ze Lwowa, a druga, nazwiskiem Batog, ze wsi. Przyjmowałem chore w gabinecie profesora dra Wierzkowskiego, tam też zainstalowałem rury przewodowe przez okno, zapośrednictwem których maszyna czerpała powietrze z ogrodu szpitalnego, filtrowano je, temperowano i aktywowano zapośrednictwem promieni energetycznych lub też potężnych promieni z lampy elektrycznej Nernsta. Uzyskane powietrze miało zapach najświeższego powietrza górskiego i w absolutnej ciemnicy wykazywało obłoczki światła fioletowego.

Już po kilku respiracjach i naświetleniach objawiły się u chorych następujące zmiany: temperatura ciała obniżyła się o $^3/_4{}^0$ Cels., nocne poty ustały i apetyt się powiększył. Wzbudziło to ogólne zainteresowanie, pisano biuletyn po łacinie, a wkrótce ówczesny dyrektor szpitala zgłosił się u mnie z zaszczytną dla mnie propozycją oddania mi do dyspozycji osobnej salki z kilkoma łóżkami, znajdującej się nad kaplicą szpitalną, doskonale nadającej się do dalszych doświadczeń.

Z propozycji tej byłem bardzo zadowolony. Dyrektor ten, młody człowiek, był, zdaje się, następcą dra Głowackiego.

Rozpocząłem budowę większej maszyny, ażeby równocześnie mogło korzystać z niej kilku chorych.

Asystenci profesora wypytywali chorych, czy ja przypad-

kowo potajemnie nie stosuję jeszcze jakich innych leków; od jednej chorej osoby zażądano nawet solennej przysięgi, że niczego nie stosuję prócz powietrza, wychodzącego z maszyny, znajdującej się w gabinecie profesora.

Pewnego dnia spostrzegłem, że moja maszyna była rozbierana przez jakąś niefachową osobę, która nie potrafiła złożyć jej napowrót należycie. Nie bardzo mię to wzruszyło, gdyż byłem na tyle przezorny, że zasadniczy nervus rerum maszyny zabierałem zawsze z sobą do domu — właśnie dla zabezpieczenia się przed kradzieżą naukową. Przezorność moja okazała się słuszną. Ta próba wykradzenia tajemnicy mojej maszyny mocno zachwiała moje zaufanie do prawdziwej rzetelności otaczających mnie czynników naukowych, które oprócz ważenia osób obserwowanych de facto niczem się nie przysłużyły w zbieraniu doświadczeń. Nie starano się o sprawdzanie specjalnemi aparatami działalności płuc i serca, ciśnienia i składu krwi, nie porównywano ilości zużytych pokarmów i wydzielin tak pokarmowych, jak i respiracyjnych, nikt się nie troszczył o skonstatowanie zasadniczego stanu ani o sprawdzenie zmian, jakie spowodowały moje zabiegi lecznicze, z wysokości autorytetu lekarskiego lekceważono moje uwagi.

Oprócz przybytku na wadze konstatowano, jak zaznaczyłem już na samym początku, tylko temperaturę ciała i ilość uderzeń tętna. Przyzwyczajony jako inżynier do ścisłości w pomiarach, nie mogłem zadowolić się niedojrzałą metodą w przypadku, gdzie chodzi o największy skarb człowieka, bo o jego zdrowie i życie. Pewnego dnia spostrzegłem u jednej z mych pacjentek pogorszenie; ponieważ nie umiałem wytłumaczyć go sobie, zapytałem chorą o przyczynę jego i dostałem następującą odpowiedź: Proszę pana doktora, jak tu można wyzdrowieć w tych warunkach, w jakie stawia się chorą, pędzą mnie prawie nieubraną, bez pończoch przez kurytarz przy kilkostopniowym mrozie (było to w lutym), leżę w chłodnej sali bez należytego nakrycia, a w dodatku nie dadzą mi nale-

życie zjeść, jestem ciągle głodna, mam tylko tę jedną ulgę, że oddycham maszyną.

Spostrzegłem, że u tej osoby nastąpiła recydywa z powodu złego obchodzenia się z nią, więc szukałem sposobu i możności uchylenia się od dalszych bezcelowych doświadczeń i skorzystałem z najbliższej sposobności, jaka się nadarzyła. Gdy spotkałem się z profesorem, skierowałem zaraz rozmowę na chorą, której stan pogorszył się, i udając, że uważam inhalacje maszynowe za bezskuteczne, zaproponowałem zaniechanie doświadczeń z niemi. Profesor, nolens volens, raczył mnie przyznać słuszność, lecz żałował, że nie próbowano jeszcze doświadczeń z pyłem methylenblau, ażeby uwidocznić, jak daleko rozszerza się prąd powietrza w alweolach płucnych. Nadmieniłem, że z poprzednich doświadczeń z p. doktorem Gońką doszedłem do przekonania, że próbowano wprowadzić do ciała ludzkiego wprost przez skórę rozczyn methylenblau, kokainę i jod zapomocą promieni, któremi aktywowałem powietrze, a skutek był ten, że rozczyn kokainy, wbity promieniami do ciała, znieczulił dość głęboko mięsień, tak że było możliwe wbicie dość długiej szpilki w ciało ludzkie bez sprawienia bólu, jod zaś, po 10-cio minutowem wpromieniowywaniu go do ciała, skonstatowano w plwocinach poddanej doświadczeniu osoby; methylenblau nie przechodził przez skórę, natomiast żaba, naświetlana w plecy przez położony na nią kawałek waty, zwilżony rozczynem strychniny, już po 5-ciominutowem naświetlaniu wykazywała wybitne oznaki otrucia.

Dążyłem do przerwania dalszych doświadczeń i osiągnąłem to. Przypadkowo dowiedziałem się, że podejrzenia moje były słuszne; byłem więc uszczęśliwiony, gdy w obecności profesora nakazałem służącemu mojemu przenieść moją maszynę do mojego laboratorjum. Podziękowałem nawet za dobre chęci doktorowi Krzyżanowskiemu, który zaproponował mi pawilonik dla doświadczeń na ówczesnej wystawie higjenicznej, utraciłem bowiem już wszelką wiarę w ludzi, którzy uchodzą za dobrodziejów ludzkości, w rzeczywistości zaś często nimi nie są.

Moja córka Anna zachorowała na influencę. Zawezwano doktora-profesora, który przez 5 tygodni wizytował ją dziennie dwa razy, kontrolując jak najdokładniej jej stan zdrowia i skutek zastosowanych lekarstw. Po pięciu tygodniach oświadczył, że w płucach powstał egzudat, który należy zbadać sądą. Poprosiłem, ażeby z sądowaniem zaczekał jeszcze kilka dni i postawiłem sprawę na „va banque". — Zabroniłem więc dalszego stosowania wszelkich lekarstw i smarowideł aptecznych, tych łacińskich skarbów, które przez 5 tygodni więziły córkę moją w łóżku.

Zarządziłem oddychanie 3 razy dziennie po 10 minut powietrzem, aktywowanem przez promienie eteroidu. Lekarz nie był uwiadomiony o tej zmianie frontu, badał codziennie chorą rano i wieczór i kontrolował zużycie lekarstw, które się sumiennie wylewało do cebrzyka w tym samym stosunku, w jakim miały być zażywane. Po trzech dniach lekarz zaznaczył, że zaszło coś w płucach, większa bowiem część egzudatu została z płuc usunięta, czwartego zaś dnia, gdy w plwocinach pokazała się krew, zaznaczył, że płuca były pod egzudatem zranione i że wskutek tego to miejsce w płucach po uwolnieniu się od egzudatu krwawi. Wkrótce potem zdrowie powróciło, a po dalszych 7-miu dniach nastąpiło zupełne wyzdrowienie bez zastosowania jakichkolwiek łacińskich mikstur. Lekarzowi, P. T. profesorowi, po dziś dzień nic o tem nie powiedziałem, ażeby nie psuć mu humoru; przy wielkiej bowiem zarozumiałości nie przyznałby mi był wcale słuszności i jestem zupełnie pewny, że nigdyby się był nie zgodził na tak haniebne sprofanowanie jego drogocennych lekarstw.

W drodze z Charkowa do Kairo zatrzymał się we Lwowie śpiewak operowy p. Bielski wraz z swoją młodą małżonką. Był bardzo chory na chorobę Brajta (morbus Brigge); jak to wykazywała analiza, pochodząca z Uniwersytetu Charkowskiego, wydzielał znaczne ilości białka. Za ordynacją doktora Serbeńskiego został naświetlany u mnie; a analizy, czynione w pewnych odstępach czasu przez oddział higjeny tutejszego uniwer-

sytetu, wykazywały słabsze wydzielanie się białka. Po kilku tygodniach pozostały słabe tylko ślady białka i zachodziła wszelka nadzieja zupełnego wyzdrowienia p. Bielskiego. Nawet jedno oko, które w toku choroby zaniewidziało, zupełnie się poprawiło bez wszelkich zabiegów leczniczych. Chory wyśpiewywał sobie z uciechy różne arje i był też pełen nadziei, że wkrótce może znowu powróci na scenę. Niestety wkrótce analiza wykazała znaczny zwrot ku gorszemu; białko ujawniło się w znacznej ilości. Badałem chorego, aby dotrzeć do przyczyn tak nagłego zwrotu i dowiedziałem się, że on do późnej nocy przesiaduje z kolegami teatralnymi po kawiarniach i t. d., i t. d. Lecz to mnie jeszcze nie zaspokoiło, aż dowiedziałem się wreszcie od gospodarza mieszkania, zajmowanego przez p. Bielskiego i jego nadobną żonę, że jego młoda żoneczka jest tak wzorową Mesaliną, iż w ciągu dnia po kilka razy woła: „Stasiu, chodź bawić się ze mną w łóżku, ty i tak musisz umrzeć“, a Stasio nie miał tyle siły moralnej, żeby się oprzeć jej pokusom. Uwiadomiłem go, że teraz już znam przyczynę pogorszenia się jego zdrowia; poprosił mnie, żebym sam pomówił z jego żoną w tej drażliwej sprawie.

Poprosiłem ją na konferencję do siebie, pokazałem jej wszystkie analizy i zwróciłem jej uwagę na groźny wynik ostatniej analizy; nadmieniłem wreszcie, że powinna mieć wzgląd na swojego chorego męża i nie wpędzać go do grobu swojemi ekstrawagancjami seksualnemi.

Trzeba było widzieć tę młodą Ksantypę! — była to córka jakiegoś czeskiego kapelmistrza; skoczyła do mnie, jakgdyby ją żmija ugryzła.

— Co pan sobie myślisz! — krzyknęła — mój mąż jest moim mężem, mogę z nim robić, co mnie się żywnie podoba, panu nic do tego!

— Nie zaprzeczam — odrzekłem — praw pani do męża, prosiłem tylko o wyrozumienie, lecz wobec zajętego przez panią stanowiska w tej sprawie zawiadamiam, że ja nie myślę naprawiać tego, co pani lekkomyślnie psuje, i jeżeli pani

nie zmieni swego postępowania względem męża, to zgóry zapowiadam, że nie będę go dalej naświetlał i nie będę się też dalej troszczył o jego zdrowie. Niechże pani robi z mężem, co się pani podoba, od jutra nie przyjmuję go więcej u siebie, jeżeli pani nie zmieni swego zgubnego postępowania wobec niego.

— Nie zmienię — zawyrokowała — nic, a pana zmuszę przez władzę do dalszego naświetlania męża mego.

Dwa tygodnie później czytałem kartę pogrzebową, umarł na klinice lwowskiej. — Requiescat in pace!

Z Moskwy zawitał do mnie dyrektor Brykins, było to za czasów ordynowania dra Gostyńskiego. P. Brykins miał w wielu miejscach znieczulone ciało. Wobec tego, że oprócz języka rosyjskiego posiadał fragmenty tylko francuskiego, nie mogłem się z nim porozumieć należycie; naświetliłem go 4 czy 5 razy, poczem przestał przychodzić. Dr. Gostyński pytał mnie, co się stać mogło z Brykinsem. Mówiłem, że dzień przedtem mówił do mnie, że go coś boli, lecz nie byłem w stanie zrozumieć, o co jemu chodziło. Po upływie 7-miu dni zjawia się znowu p. Brykins z niemieckim listem z Wiednia następującej treści:

„...Niechże się pan nie da zbić z tropu ciągłemi bólami pana dyrektora Brykinsa, on się znajduje na drodze do poprawy, proszę go dalej naświetlać tak samo, jak to było przed jego wyjazdem".

Z poważaniem

Prof. dr. Neusser.

Naświetlano go przez 6 tygodni, a gdy następnie wyjechał do Kijowa i objął tam teatr, w którym później zastrzelono Stołypina, lekarze tamtejsi orzekli, że Yks we Lwowie przedłużył mu życie co najmniej o 10 lat.

Brykins skierował do mnie swojego dawniejszego kolegę, adwokata z Petersburga, z tamtejszego Ministerjum Kolejowego; wykazał się on poleceniem prof. dra Gribojedowa z Akademji Wojskowej. Miał całkowicie porażoną prawą rękę, a częściowo i jedną nogę. Noga poprawiła się prawie całkowicie, a ręka tylko o tyle, że był w możności podpisywać się.

Tenże adwokat polecił mi żonę inżyniera z Petersburga, także badaną przez profesora Gribojedowa, który chorobę jej określił jako sclerosis diseminata. Głowa jej kiwała się na tułowiu bezwładnie, chodzić zupełnie nie mogła, była więc ciężko chora, wcale nie do uleczenia znanemi środkami lekarskiemi. Wobec tego, że polecenie dra Gribojedowa uważałem wobec urzędowego szymla austrjackiego za niewystarczające, przeto poprosiłem tę panią, ażeby uzyskała polecenie do mnie jednego z tutejszych lekarzy i na życzenie wymieniłem nazwiska prof. dra Prusa, dra Feuersteina, dra Świtalskiego i dra Heschelesa. Ta pani jednakowoż wybrała sobie doktora Zakrzewskiego z Marjówki, bo poradziła jej tak gospodyni, u której mieszkała.

Gdy dr. Zakrzewski zawitał do tej pani, przekonał się natychmiast, że jego wiedza ginekologiczna nic tu nie poradzi i zawezwał sobie do pomocy dra Feuersteina, obecnie już Krzemienieckiego, który był za naświetlaniem chorej w mojem laboratorjum, doktór Zakrzewski jednak zaordynował hydroterapeutyczne leczenie w sławnej Marjówce. Gdy pani ta zakomunikowała mi wyrok tego konsyljum lekarskiego, oświadczyłem jej, że jej naświetlać nie będę, dopóki jeden z tutejszych lekarzy nie wyda stosownego polecenia. Radziłem jej zwrócić się do doktora Rosnera, starszego, wyrozumiałego lekarza, uważając zdanie dra Zakrzewskiego za zupełnie nieuzasadnione.

Biedna kobieta była tak zdenerwowana, że rozpłakała się, mówiąc: „Wydałam za trzy wizyty lekarskie znaczniejszą kwotę i żaden z lekarzy nie pomógł mi ani też nie poradził, narobili pełno smrodu papierosami, opluli podłogę i kazali sobie za to suto zapłacić. Przecież to jest niesumienne i niegodne, tego nie uczyniłby żaden lekarz w Petersburgu".

Dr. Rosner Ignacy zbadał kobietę, sprawdził diagnozę prof. dra Gribojedowa i polecił naświetlanie jej pod swoją kontrolą. W kilka dni później otrzymuję wezwanie z Miejskiego Departamentu Sanitarnego, ażebym tam usprawiedliwił się z kurfuszerki, o jaką oskarżył mnie p. dr. Zakrzewski. Pokazałem list, adresowany do mnie z Petersburga, na podstawie którego

zgóry zgodziła mnie nowa pacjentka moja, polecenie profesora dra Gribojedowa, polecenie dra Rosnera oraz potwierdzenie, że już po kilku dniach nastąpiła poprawa zdrowia, stanu zasadniczo nieuleczalnego. Panu doktorowi Zakrzewskiemu napisałem dziękczynny list za jego troskę o publiczne zdrowie, dodając, że tacy zasłużeni filantropowie ulegają najczęściej nietylko finansowemu, lecz i moralnemu bankructwu i że powinien wiedzieć, iż hydropatyczne zabiegi w przypadku sclerosis disseminata nie wywierają żadnego dodatniego skutku, nawet przy zastosowaniu święconej wody z Lourdes w miejsce tej lichej wody, jaka jest w Marjówce, którą znam dobrze, sam bowiem urządzałem dla Bertemiljana Brajera tamtejszą instalację leczniczą, nie mogącą mieć dobrej wody z powodu niefortunnego położenia Zakładu w kotlinie, otoczonej bagnami.

Między innymi zawadzili o moje progi hr. Henryk Stecki i dr. Plaskowiecki z Kijowa; z tych ostatni, robiąc doświadczenia sam na sobie, przekonał się, że poddanie się działaniu promieni eteroidu jest znamiennym środkiem do poprawy funkcji serca.

Hr. Stecki miał sposobność przekonać się, jak musi się często walczyć z szymlem, okrytym pleśnią zacofania, jak dla materjalnego poparcia pewnej kasty a z wielką szkodą dla dobra publicznego gloryfikuje się zastarzałe, zupełnie zacofane przywileje, jak cywilizacja rozbija w gruzy zdrowie publiczne, działające pozornie w interesie jego. Nawiasem mówiąc, hrabia przybył do Lwowa w tym czasie, kiedyto P. T. lekarze wszelkiemi sposobami starali się uzyskać u władzy urzędowej zakaz stosowania w celach leczniczych naświetlania ciała ludzkiego promieniami eteroidu i oddychania czystem, świeżem, zapośrednictwem promieni eteroidalnych aktywnie wyposażonem powietrzem — jakby się obawiając, żeby nie zabrakło chorych do leczenia klinicznego. Hr. Stecki poczynił wszelkie kroki u namiestnika, marszałka, protomedyka i fizykatu miejskiego, ażeby jemu wyjątkowo pozwolono na naświetlanie się u mnie. Moi spólnicy ówcześni pod wpływem gróźb lekarzy odmawiali

chorym naświetlania. Ale dr. Pawlikowski, ówczesny lekarz miejski, a później także dr. Merunowicz, protomedyk namiestnictwa, przybyli do mnie i prosili, żebym potajemnie naświetlał hr. Steckiego. Dr. Pawlikowski miał nawet zamiar osobiście spróbować skutków naświetlania, czuł się bowiem niezdrów, ale nie przyszedł, bo wkrótce zmarł nagle, zdaje się na niedomóg serca.

Miałem też dwa znamienne przypadki astmy, mianowicie u inspektora kolejowego p. Heppégo z powodu rozluźnienia się tkanek sercowych i wynikającego stąd rozszerzenia się serca oraz u pani Gruszczyńskiej, matki zawiadowcy apteki Mikolascha, z powodu rozszerzenia się płuc.

Inspektor Heppé był już tak słaby, że głowa mu zwisała zupełnie bezwładnie. W czasie powstania 1863 był on ministrem kolejnictwa ówczesnego rządu polskiego, czego urzędowy dowód przypadkowo dostał się w moje posiadanie, gdy będąc 13-letnim chłopakiem, postarałem się o ukrycie uciekających powstańców polskich przed zbirami austrjackimi. Pomiędzy powstańcami tymi był Heppé. Zgubił on wówczas swój dokument. Była to mała kartka na niebieskawym papierze, zawierająca nominację na ministra, opatrzona stampilą Polskiego Rządu Narodowego; znalazłem ją w szczypie drzewa opałowego.

Naświetlany przez doktora Borzemskiego po dwa razy dziennie, wyzdrowiał insp. Heppé najzupełniej, pomimo że dr. Borzemski nie rokował mu początkowo dłuższego ponad dwa dni życia.

Pani Gruszczyńska wyzdrowiała już po pięciu naświetlaniach. Gdy po pierwszych naświetlaniach lekarze zabronili jej dalszego naświetlania się, wykrzykiwała w ostatniej pasji w obecności dra Podlewskiego, że przez 10 lat bezskutecznie leczyła się u różnych renomowanych lekarzy, a obecnie, gdy dochodzi do zdrowia, ci łotrzy przeszkadzają jej, że powinno się ich powywieszać i podpalić wszystkie apteki jako nory, trujące ludzi. Dr. Podlewski, widząc to rozdrażnienie rozżalonej staruszki, pozwolił jej naświetlać się na jego odpowiedzialność.

Cierpienia, wynikające z chorobliwego stanu 5-tego nerwu, trigeminusa, były zgłaszane nader często w przeróżnych stadjach rozwoju i to nawet po operacji wycięcia pewnej gałęzi tego nerwu.

Radca Beneszek, którego ojciec też cierpiał na bóle, pochodzące z niedomogu trigeminusa, i umarł przy 3-cim większym ataku, zgłosił się po siedmiomiesięcznej bezskutecznej kuracji u lekarzy i po różnych elektryzacjach do mnie, do naświetlania. Miał on przez paraliż mocno wykrzywione usta, jedno oko było stale rozwarte, załzawione, zakrwawione i nie można go było zamknąć.

Dwumiesięczne codzienne, za każdym razem po 10 minut trwające naświetlanie czaszki i twarzy wystarczyło do zupełnego wyprostowania ust i do uzyskania możności zamykania oka.

Równocześnie poprawił się też ogólny stan zdrowia chorego, tak że radca później przychodził sporadycznie tylko dla zachowania sił fizycznych i psychicznych na uzyskanej wyżynie.

Radca dworu Postel miał na tylnej części języka nowotwór rakowy, leczył się u profesora doktora Prusa, a gdy znajdował się już w nader krytycznem stadjum i od bólu zupełnie nie mógł spać, krewni jego przyszli do mnie z prośbą, ażebym spróbował swoim środkiem złagodzić cierpienia, zupełnie nie biorąc odpowiedzialności za skutki, życie bowiem chorego jest już tak zagrożone, że do dwóch, ewentualnie trzech dni muszą cierpienia jego skończyć się śmiercią.

P. T. prof. dr. Prus został o tem zawiadomiony i nie był przeciwny tej próbie, pacjent uczęszczał równocześnie i do niego w celu poddania się elektrokauteryzacji czy elektrolizacji; profesor przeprowadzał to przez wkłucie dwóch igieł platynowych w chorą tkankę rakową — i przepuszczenie przez nią odpowiednio silnego prądu elektrycznego, który rozkładał tkankę.

Sporządziłem specjalny przewód, zakończony rurką platynową, którą chory sam sobie wkładał do gardła, i zapośrednictwem tego przewodu naświetlałem chorą część języka. Po kilku naświetleniach chory ożywił się, przestał okazywać ochotę do

śmierci, owszem przyniósł mi pocieszającą wiadomość, że jak stwierdził pan profesor, pewna część chorego miejsca poczęła się goić pod wpływem elektrolizy, przeprowadzanej codzień przez pana profesora.

W tym czasie wylosowano mnie na sędziego przysięgłego do sądu krajowego, a żadna najpokorniejsza prośba moja i żadne rzeczowe przedstawienia nie zdołały skłonić prezydenta Białoskórskiego, by uwolnił mnie na pewien przeciąg czasu od tej niepowetowanej straty czasu; owszem gburowato odprawił mnie słowami, że to jest obowiązek obywatelski i że jeżeli ja go zaniedbam, każe mnie aresztować.

Jeżeli taka bezwzględność urzędowa była uzasadniona, to i ja też nie miałem obowiązku zajmowania się dalej chorym radcą dworu, siedziałem więc bezczynnie i przysłuchiwałem się banalnym rozprawom złodziejskim. A zresztą jeżeli rak już się goi, to i moje naświetlania zbyteczne. Przez trzy tygodnie bez przerwy traciłem swój czas drogocenny w domu sprawiedliwości na przysłuchiwaniu się krętactwom złodziei oraz szpicfinderstwom prawników! Po tej rozprawie byłem przypadkowo przez kilka dni wolny; tak bowiem prokurator, jak i obrońcy tak mnie kochali, że nigdy nie chcieli mnie uwolnić, twierdząc, że w obecnych czasach prawie niema osób z prawdziwem poczuciem etycznem. Z wolności skorzystał radca Postel, ale biedak był znów w politowania godnym stanie, do tego stopnia, że pewny byłem, iż mu już pomóc nie mogłem.

Skarżył się, że elektroliza pomimo szalonego bólu nic nie pomogła, że obecnie palą go znowu kwasem mlecznym i że moje naświetlania były jedynym środkiem, który jemu przynosił ulgę na kilka godzin, po każdem bowiem naświetlaniu następowało znieczulenie chorego miejsca, które pod wpływem elektrolizy rozbolało go zawsze do męk piekielnych; po mojem naświetlaniu, jak twierdził chory, wszelki ból ustawał i mógł on przespać się przez kilka godzin, co, jak sądził, przyczyniało się do przedłużenia jego życia.

Radca dworu Postel tej samej nocy przeniósł się do wiecz-

ności, a ja z tego powodu odczułem tak wielki żal do nieludzkiego prezydenta sądu, który uniemożliwił mi dokończenie leczenia chorego, iż życzyłem temu nieczłowiekowi, który nie umiał pogodzić ludzkości z obowiązkiem prawnym, ażeby i on tak skończył na raka jak biedny radca Postel. Gdy później syn Białoskórskiego wyskoczył w zamiarze samobójczym z kilkupiętrowego domu na bruk, to wprost oświadczyłem, że to jest ujawienie się karzącej Nemezis za nieludzkość jego ojca.

Dyrektor gimnazjum Franciszka Józefa, p. Rawer, został porażony w Ostendzie, w kąpieli morskiej, na jedną nogę i rękę oraz stracił mowę.

Zostałem zawezwany przez doktora Stachiewicza, żebym się zajął naświetlaniem p. Rawera.

Po pewnej liczbie naświetlań wróciła częściowo mowa, pacjent był w możności wymówić pojedyńcze sylaby, a dopiero po dłuższym czasie umiał już łączyć je z trudem w pojedyńcze wyrazy, a później i w całe zdania. Następnie poprawiła się noga; jakkolwiek niezupełnie, jednak na tyle, że wózek stał się zbytecznym. Ręka pozostała nadal bezwładna, jednakowoż czasem ujawniały się podczas naświetlania dość silne odruchy podrzucenia ręki w górę.

Pani Łucka, żona adwokata z Nadwórnej, została mi polecona przez doktora Kraszewskiego z Zakopanego. Blisko w 7 miesięcy po połogu utworzył się jej skrzep, a potem nastąpiło porażenie ręki i nogi, poczęści i mowy.

Gdy mnie dr. Kraszewski uwiadomił, że pacjentka jego ma zamiar przyjechać do mnie, uprosiłem go, żeby zatrzymał p. Łucką w swej opiece do jesieni. Gdy z początkiem jesieni przyjechała do Lwowa, nie mogła chodzić o własnych siłach, po sześciu zaś tygodniach stan jej poprawił się o tyle, że mogła od biedy chodzić o lasce, a później i bez pomocy laski; rękę zdołała podnieść do pewnej wysokości, mówiła wyraźniej i logiczniej jak w dniu przybycia do Lwowa. Po trzytygodniowem naświetlaniu przyszła też menstruacja, której nie było jeszcze od porodu ostatniego dziecka. Od tego czasu rozpoczęła się też

poprawa jej zdrowia w szybszem tempie; najprawdopodobniej przyczyną jej niedomogu był brak menstruacji przez wiele miesięcy.

Przywieziono do mojego laboratorjum młodą panienkę, pannę Klarę Langner, córkę tutejszego kupca, która dwa lata leżała na klinice wiedeńskiej z porażoną ręką i nogą, a po upływie tego czasu uznana została za nieuleczalnie chorą na tak zwaną po niemiecku „spastische Lähmung". Gdy już wszelkie środki lekarskie zawiodły, odstawiono ją do mego laboratorjum w celu spróbowania naświetlania. Była to urocza, duchowo bardzo rozwinięta panieneczka, żydówka typu orjentalnego w wieku lat około 13-tu. W szpitalu wiedeńskim, gdzie przeleżała się dwa lata, zatarła się poniekąd ta tak starannie wyhodowana u niej we Lwowie cecha semicka, co też przyczyniło się do podniesienia jej wrodzonych wdzięków. Po kilkumiesięcznem naświetlaniu zerwała się nagle z miejsca, na którem spoczywała jak Łazarz, i próbowała nietylko chodzić po pokoju, lecz i pisać chorą ręką, co okazało się możliwem.

Naturalnie zdarzenie to wywołało niezmierny podziw; poprzednio bowiem tak ręka, jak też i noga były zupełnie sztywne, a tymczasem Klarcia naraz odżyła, zaczyna igrać, być wesołą i psotną, wygaduje na lwowskich żydów; matka ją upomina, przychodzi do gwałtownej sprzeczki pomiędzy matką i córką; matka podnosi żydów pod niebiosa, córka zaś wytyka, że cała cywilizacja wala się w błocie przez polskich żydów i t. d., aż wreszcie Klarcia tak się zirytowała, że dostała spazmów, popadła w stan nieprzytomny, i znów została porażona ręka i noga jak na początku kuracji. Po kilkumiesięcznem dalszem naświetlaniu wróciła do zdrowia, wyjechała do Wiednia, a poznawszy się tam z nauczycielem obcych języków, wyszła zamąż i stała się matką. Na Nowy Rok dostałem od niej gratulacje i podziękowanie, potrójne — od niej, męża i dzieciątka.

Młody Herbert Perkins, 18 letni syn Jakóba Perkinsa, przedsiębiorcy naftowego, podźwignął się w warsztacie mechanicznym. Zachodzi obawa przepukliny, nie może chodzić, jęczy

od bólu, nie ma apetytu; ojciec przywozi go do Lwowa, naświetla się go przez 14 dni, ból ustępuje, apetyt wraca, a nim się spostrzeżono, jest już zdrów i urządza sobie wycieczkę na Kopiec Unji Lubelskiej, tak że aż ojciec jego się przestraszył, żeby go to przesilenie nie dobiło; tymczasem chłopak wraca wesół i zdrów do domu.

Przychodzi do mnie pewien obywatel, p. Lech, w towarzystwie swojego służącego; ma twarz prawie fioletową i narzeka, że chodził tak w Krakowie, jakoteż we Lwowie po wielu doktorach, a żaden z nich nie zdołał mu poradzić nic skutecznego na jego cierpienie, które mu oddawna dokucza.

Pytam się go, czy poddał on krew swoją mikroskopowemu badaniu. Odrzekł, że tak i że znaleziono 8—9 miljonów erytrocytów w jednym kubicznym milimetrze.

Pytam się jego, czy żaden lekarz nie uczynił jakiego logicznego wniosku z tej nadmiernej liczby czerwonych ciałek krwi, u zdrowego bowiem człowieka jest ich tylko 4—5 miljonów; mówi mi, że żaden z lekarzy nie zwrócił na to uwagi.

— Czy u pana — pytam — nie zachodzi prócz tego jakaś niedyspozycja żołądkowa i kiszkowa?

— Tak jest, panie.

— W takim razie pofatyguj się pan do jednego ze swoich znajomych lekarzy i poucz go pan, że pańska wątroba nie funkcjonuje należycie, nie przetwarza bowiem zwyżki 3 miljonów erytrocytów per milimetr kubiczny na żółć, brakuje więc panu żółci do należytego odkażania wnętrza kiszek od niepotrzebnej fauny i flory, która toksynuje cały pański organizm. Bądź pan zdrów i trzymaj się pan ciepło, a nie zapomnij urządzić stosownej prelekcji fizjologicznej swojemu lekarzowi.

Znane mi wypadki cierpień trigeminusa zachodziły u wielu osób; o ile pamiętam, u pułkownika Muildnera, u inżyniera Bukowskiego, u pewnego adwokata z Żółkwi czy Rawy Ruskiej, u pewnego notarjusza z Czerniowiec, u pewnego lekarza z Rzeszowa, u pewnego aptekarza, który już miał wyciętą pewną część tego rozgałęzienia przewodu nerwowego, u pewnego księ-

dza ruskiego, który przychodził do naświetlania z głową, obandażowaną liściami kapuścianemi, u urzędnika z Namiestnictwa, p. Reichla, u którego był także i język zaatakowany, u pani Robakowskiej, nauczycielki ze Lwowa i t. d. Wszyscy oni wyzdrowieli po pewnej ilości naświetlań. Były tu niektóre przypadki tak straszliwego cierpienia, że kilka z wymienionych osób chciało położyć kres tym cierpieniom zapośrednictwem broni palnej.

Wybitny przypadek tabes dorsalis był u p. Domaina. Choroba była już bardzo rozwinięta, p. D. bowiem nietylko że nie władał już wcale nogami, ale też zupełnie nie miał już czucia w wielu miejscach ciała. W dodatku jego służący wstrzykiwał mu morfinę kilka razy dziennie w sumarycznej ilości ponad 50 centygramów dziennie, tak że całe ciało poorane było przez ukłucia strzykawki. Ordynował w tym przypadku doktór Podlewski. Po kilku naświetlaniach zmniejszyło się zapotrzebowanie morfiny, a po kilku tygodniach zostały dawki przez samego pacjenta zredukowane do 15 centygramów dziennie. Lecz wkrótce nastąpił głód morfinowy, a pacjent powrócił znowu do zwiększonych dawek, które znów, lecz powolniej zmniejszano, tak że wreszcie wynosiły tylko 12 centygramów ustalonej dawki.

Jakkolwiek w stanie nóg nie zauważono żadnych wybitnych zmian, to zasadniczo stan chorego poprawił się; przyszedł lepszy apetyt i lepsze wypróżnienia, większa ochota do życia; pacjent postarał się nawet o młodą, nadobną gosposię, która codziennie osładzała mu jego samotne, monotonne życie.

Drugi przypadek morfinisty pomiędzy moimi pacjentami był u pana Schuberta z Kijowa, któremu jego żona wstrzykiwała morfiny ponad 60 centygramów dziennie i który był tak świadom zbliżania się końca życia, że dokumentalnie, jeszcze za życia, odstąpił swoją ślubną żonę drugiemu młodemu mężczyźnie pod warunkiem, że ona nie odstąpi go i będzie mu zastrzykiwać morfinę aż do końca życia jego. Koniec niedługo potem nastąpił, bo p. S. był jednocześnie i tabetykiem w najlepszym stanie rozwoju tej choroby. Żona jego nie żałowała mu morfiny.

Trzeci przypadek tabes dorsalis znałem u pacjenta profesora dra Grzegorza Ziembickiego, starego hrabiego Gołuchowskiego, brata pierwszego namiestnika Galicji, którego pomnik stoi w ogrodzie pojezuickim we Lwowie. U tego pacjenta z powodu spadku ciśnienia krwi zaszła potrzeba obcięcia dwóch palców u nogi, a gdy zaszła potrzeba obcinania jeszcze dalszych palców, zażądano ode mnie naświetlania staruszka, co też się wkrótce przyczyniło do podniesienia ciśnienia krwi oraz do rozniecenia sił życiowych. Był to także morfinista. Gdy go poczęto naświetlać, dostał na całem ciele drobnej wysypki, której się bardzo przestraszył; po kilku godzinach wysypka ta ustąpiła, lecz się znów powtórzyła po kilku naświetleniach.

Czwarty pacjent, pułkownik Bronisław Robel, naświetlał się przez dwa miesiące dla usunięcia spadku ciśnienia krwi, skutkiem którego zachodziła potrzeba obcięcia dwóch palców u nogi. Po dwumiesięcznem naświetlaniu ciśnienie krwi poprawiło się o tyle, że przez cały rok utrzymywało się na niezbędnej wysokości. A gdy znów nastąpił spadek ciśnienia, namówił go jeden z tutejszych sławnych i bogatych lekarzy na wyjazd do Karlsbadu. Lekarz w Karlsbadzie poznał się na groźnym stanie zdrowia pułkownika i odesłał go natychmiast zpowrotem do Lwowa. Teraz zaszła już potrzeba obcięcia nie palców, ale całej nogi, co też uskuteczniono w szpitalu wojskowym. Operacja udała się bardzo dobrze, niestety jednak wyleczony w ten sposób pacjent tak cichutko pożegnał się z doczesnym światem w obecności swej matki-staruszki, że dopiero lekarz, który właśnie nadszedł przypadkowo, uwiadomił siedzącą obok łóżka matkę, że syn jej już nie żył.

Gdy rok przedtem naświetlał się w mojem laboratorjum, analiza wykazała ustanie odchodu cukru. Lepiej poradził mu później jego zaufany lekarz, według wskazówek którego pozjadał tysiące cytryn i sporą ilość urycidynu Strohscheina, ażeby wreszcie skończyć amputacją nogi i przedwczesną śmiercią. Inżyniera pociąga się do odpowiedzialności, jeżeli most lub też dom, wykonany pod jego nadzorem, okazuje się niedość wytrzy-

małym, władza karze go srogo; — natomiast lekarzom nader często uchodzą pomyłki bezkarnie, pomimo że życie i zdrowie uchodzi za największy skarb na ziemi, bo nie dający się niczem zastąpić, zawalenie się zaś mostu lub domu przedstawiają straty, dające się powetować. Ze stanowiska humanitarnego i utylitarnego powinien być zawód lekarski i przedsiębiorstwo apteczne upaństwowione, wówczas bowiem odzyskanie zdrowia mogłoby być umożliwione dla najbiedniejszego. Wogóle jest to tylko silnym dowodem niedbałości dzisiejszych państw o zdrowie publiczne, że tolerują one stan, w którym na nędzy ludzkiej robi się intratne interesy i to nawet często ze szkodą dla całego ogółu, a przecież dobre zdrowie ogółu leży w interesie państwa! Tylko silny, zdrowy naród może dominować na ziemi!

Przyjechał z Warszawy właściciel fabryki maszyn rolniczych, którego nazwiska już nie pamiętam, był poprzednio na kuracji w jakimś zakładzie koło Drezna i stamtąd przywiózł z sobą aparat do mierzenia ciśnienia krwi na końcu palców. Widziałem też i u francuskich lekarzy aparaty do mierzenia siły tętna, tak jak manometr wskazuje ciśnienie pary.

Pomiar u tego pana wykazał ciśnienie w końcu palca, odpowiadające 9 milimetrom słupa rtęci, co sam sprawdziłem. Po 14 dniach naświetlania zmierzyłem znowu nacisk krwi, podniósł się on na $11\frac{1}{2}$ mm słupa rtęci. Po upływie kilku dni chory ten powrócił zdrów do Warszawy.

Na przeróżne dolegliwości naświetlano bardzo wiele osób, z których pamiętam tylko kilka, bliżej mi znanych osób, a mianowicie: Książę Adam Sapieha, ojciec biskupa krakowskiego, Książę Jan Sapieha, brat biskupa, Książę Lubomirski z Warszawy, Księżna Lubomirska ze Lwowa, Hrabina Starzeńska ze Lwowa, hrabina i hrabia Stadniccy, hrabia Henryk Plater, hrabia Skórczewski, szambelan ces. Wilhelma — po powrocie z Afryki, dr. X., sekretarz ministra dra Gautscha.

Z cierpieniami ischjatycznemi było u mnie sporo osób; z pomiędzy nich przypominam sobie kilku rotmistrzów, następ-

nie profesora dra Szymonowicza, panią radczynię Łapicką oraz kilka osób, które tej nader przykrej i uporczywej choroby nabyły na polowaniach.

Z zajętemi szczytami płuc było też sporo osób, przeważnie młodych, często też z początkami gruźlicy i z poranionemi płucami. W tych wypadkach, o ile następuje zgojenie się ran w płucach, często spostrzega się równocześnie przesunięcie się serca ku stronie prawej. Pamiętam przesunięcie się serca o 6-8 centymetrów u pani Juffe, badanej przez profesora dra Czerneckiego; to samo stwierdzono u jednej pani w Davos.

Nader osobliwy przypadek zdarzył się z 19-toletnim młodzieńcem, synem radcy namiestnictwa, p. Zadurowicza, zaatakowanym przez gruźlicę tak dalece, że się obawiano o jego życie. Miał też kilka znaczniejszych gruczołów na szyi, brak apetytu i chorobliwy, blady wygląd. Po 25 naświetleniach zniknęły gruczoły na szyi, a po dalszych 160 naświetleniach wyzdrowiał najzupełniej i jest po dziś dzień zupełnię zdrów. Jego matka, która bezskutecznie leczyła się u kilku lekarzy, także wyzdrowiała po pewnej ilości naświetleń.

Z żołądkowemi niedomogami była także spora ilość osób, z których pamiętam jeszcze p. Tarasiewicza, dyrektora teatru, matkę pani Morskiej, panią prokuratorową Gürtlerową, panią profesorową Stebelską i p. Zuberową.

Przeważna część zgłaszających się osób wykazuje pomniejszoną ilość czerwonych ciałek krwi i zmniejszenie w nich ilości żelaza oraz połączone z tym stanem następstwa, jak niezupełne utlenienie spożytego białka, a przeto i zabagnienie całego organizmu kamiennym pyłem, pochodzącym z kwasu moczowego. Stan taki nietylko powoduje przedwczesne starzenie się, lecz i rozwijanie się całego szeregu chorób i niedomogów, uzasadnionych toksynacją krwi przez niedopałki białka i innych niedostatecznie utlenionych materjałów spożywczych, oraz zagnieżdżenie się wrogiej organizmowi fauny i flory w organach trawienia. Przebywanie w hermetycznie zamkniętych, nieprzewietrzanych ubikacjach, nietylko zanieczyszczonych jadowitemi

wyziewami ciała ludzkiego, lecz nadto zupełnie zatrutych dymem i innemi produktami spalenia tytoniu, lamp naftowych i świec, pogarsza zły stan chorego. Już starzy Rzymianie wiedzieli o tem, że powietrze działa w pewnych warunkach zabójczo, jak o tem świadczy zdanie: „Aër occidit plus quam gladius".

Takichto chorych najwięcej uczęszcza na naświetlanie, osiągają oni po należytej ilości naświetleń zadowalniające rezultaty.

Od hrabiny Foucher de Careil otrzymałem telegraficznie tysiąc pięćset franków i wezwanie do Paryża dla naświetlania jej i jej chorego syna.

Po przyjeździe do Paryża naradziłem się z jej domowym lekarzem, dr. Librichem, który po bliższem wyjaśnieniu mu istoty naświetlania wyraził się o niem przychylnie i zgodził się na naświetlanie tak hrabiny, jak też i jej syna.

Ułożono się, że naświetlania mają się odbywać na francuskiej rywjerze w Mentonie, gdzie hrabina posiadała dwie siedziby: willę De Careil i zamek Marji Serena. W Mentonie mieszkał też zaprzyjaźniony z hrabiną doktór Paol Farina, który porozumiawszy się ze mną, obecny był przy naświetlaniach hrabiny i jej syna; bywały też często obecne pani Anna Wolska i hrabina d'Auer, przyjaciółki hrabiny.

Stan hrabiny Foucher, która cierpiała na silnie rozwiniętą sklerozę, poprawił się znacznie już w pierwszym miesiącu naświetlania, tak samo zauważono pewną poprawę u hrabiego, obarczonego chorobą psychiczną, jakkolwiek zdawało się, że jakakolwiek poprawa w jego zdrowiu jest wykluczona. Raz miał dr. Farina wielką sprzeczkę z hrabiną d'Auer, małżonką ambasadora szwajcarskiego, która widocznie była kobietą bardzo zacofaną i wielką bigotką.

Chodziło jej o to, że z tego przewodu, którym ja naświetlałem hrabinę, wydobywa się ognista różnokolorowa łuna świetlna. Według jej indywidualnego pojmowania rzeczy, musi być ten ogon, jak nazwała ten przewód, zapożyczony od monsiera Djabła, zabiegi moje muszą być przeto grzeszne, bo przy nich sam Szatan pomaga.

Doktór Farina starał się jej wytłumaczyć, że to tak nie jest, ale to doprowadziło tylko do gwałtownej sprzeczki; zacofanie bowiem u tej kobiety było tak kolosalne, jakiem nawet sam Lwów nie mógłby się poszczycić.

Hrabina Foucher tak była zadowolona z poprawy zdrowia swego, że w początku marca 1908 zainicjowała urządzenie odczytu mego w położonym na wybrzeżu morskiem zamku swym Maria Serena; a idąc za popędem swych filantropijnych uczuć, ta niezmiernie szlachetna kobieta chciała zamek ten wraz z cudownemi ogrodami o przepięknych palmach, bujnych krzakach pomarańczowych i cytrynowych, cudnych kwiatach południowych zamienić na sanatorjum, w którem leczonoby zapomocą naświetlań eteroidem.

Odczyt mój odbył stę około 13 marca 1908; doktór Paol Farina prelegował tekst, który ja poprzednio ułożyłem po polsku (przetłumaczono go na język francuski), ja zaś uzupełniałem odczyt pokazami. Zaproszenia na odczyt były wystosowane przez panią hrabinę do lekarzy, dyplomatów i arystokracji, zamieszkałej w Monte Carlo, Nicei, w Cannes i Mentonie, nie brakowało nawet Kitschenera, znanego angielskiego okrutnika z Abderhanu i Transvaalu; ponadto zaproszono z Polski marszałka Galicji, Stanisława Badeniego, i namiestnika Galicji, hrabiego Andrzeja Potockiego, Wydżgę, kompozytora opery „Pan Tadeusz“, i inne osoby, znane i zaprzyjaźnione z hrabiną z czasów, gdy małżonek jej był francuskim ambasadorem w Wiedniu.

Goście z nad rywjery przybyli prawie w komplecie, z Polski zaś przybył jedynie tylko Tomasz Wydżga.

Sanatorjum nie przyszło do skutku, odwiedli mnie od niego doktór Farina i p. Wydżga, który namiawiał mnie, żebym powrócił do Polski. Rada doktora Fariny była bardzo praktyczna i przekonywująca: zwrócił moją uwagę na to, że utrzymywanie tak wykwintnego zamku i jego cudownego ogrodu wymaga corocznego nakładu co najmniej 20 do 30.000 franków, gdybym zaś wynajął całą willę w Mentonie na Promenade de Midi, zapłaciłbym około 12.000 franków i mógł mieć w ciągu

3 miesięcy, t. j. w czasie trwania sezonu, około 30.000 do 40.000 franków dochodu, podczas gdy w zamku, położonym w Garavan, a raczej prawie w St. Louis, z powodu znacznej odległości od Mentony dochód byłby znacznie mniejszy. Więc najuprzejmiej podziękowałem pani hrabinie za jej łaskę, a ona podniosła ze swojego biurka misternie rzeźbiony krucyfiks z kości słoniowej i darowując go mi, dodała, że krucyfiks ten otrzymała w podarunku od przyjaciółki swojej, cesarzowej Eugenji, która kupiła go od sławnego rzeźbiarza hiszpańskiego za 15.000 franków. Później jeszcze raz spotkałem się z hrabiną i jej synem na dworcu w Nicei, zapraszała mnie do Paryża lub też ewentualnie na przyszły rok do Mentony.

Już w obecnym czasie zdarzył się następujący przypadek: Od pułkownika dr. Bałabana, okulisty, przybył do mnie porucznik Hanuszewski z ordynacją, że w oku, zranionem kolbą w walce z bolszewikami, pokazał się nowotwór rakowy, rodzaju melano sarcoma, t. j. czarny rak. Z powodu że dolna powieka oka była zupełnie rozbita, przeniesiono pewną część skóry twarzy ku oku, ażeby uzyskać z niej coś w rodzaju powieki. Operacji tej jednak dokonano w ten sposób, że zewnętrzna powierzchnia skóry obrócona została ku oku. Następstwem tego było, że włosy, które wyrastały z tej skóry wewnątrz osady ocznej, drażniły niepomiernie tak bulbus oczny, jak i jego osadę. Okoliczność ta wywołała powstanie nowotworu w wewnętrznej osadzie oka, poniżej gałki ocznej. W Warszawie przez 7 dni poddawano nowotwór ten działaniu promieni radjum. Nowotwór znikł, aby po upływie dalszych siedmiu dni znów się pokazać. W tym czasie został pacjent przeniesiony z Warszawy do Lwowa. Początkowym zamiarem władzy wojskowej było odesłać chorego do Francji dla ponownego leczenia zapomocą radjum, lecz później uradzono przesłać go do mojego laboratorjum w celu spróbowania naświetlania promieniami eteroidu. Nowotwór miał wygląd fioletowo-czarnej, kulistej gałki, wielkości mniej więcej czereśni. Pacjent znajdował się w rozpaczliwym stanie, straszliwy ból tak w oku, jak i w głowie dokuczał mu bezustannie.

a ordynujący w mojej pracowni lekarz nie wiedział, co ma począć w tym krytycznym przypadku. Postanowiłem natychmiast poddać narośl silnemu promieniowaniu eteroidu. Przy silnem świetle elektrycznem udało mi się przeprowadzić tę czynność tak zręcznie, że nie uszkodziłem dalszych części oka. Gdy po kilku minutach ukończyłem moje zadanie, biedny ten człowiek odetchnął z uczuciem ulgi. Ból ustąpił, a uradowany pacjent poszedł do domu, przyrzekając zawiadomić mnie następnego dnia o skutkach naświetlania. Działo się to o godzinie 6-tej wieczorem w sobotę, a gdy przybył do mnie w niedzielę o godzinie 11-tej w południe, nie było już najmniejszego śladu ani z narośli, ani z bólów. Odesłałem go natychmiast do okulisty dra Bałabana, który ze zdziwieniem oświadczył, że to prawdopodobnie nie był rak, tylko krewniak. Dziwnem jest wszakże, że i w Warszawie uchodziła narośl za objaw raka. We Lwowie P. T. profesor dr. Machek ofiarował się przeprowadzić operację za wynagrodzeniem 100.000 marek, za operację u biednego człowieka, który bronił Ojczyznę i w czasie walk utracił żonę, zamordowaną przez bolszewików. Sic transit gloria.

Nazwiska dalszej osoby z chorobą oczu nie pamiętam. Podobno była to pocztmistrzowa z Nadwórnej, mała kobiecinka z białemi włosami. Naświetlałem ją, nic nie wiedząc, że głównie chodziło jej o oczy, które także naświetlałem, ale dość pobieżnie i dlatego tylko, iż wiem z doświadczenia, że zwyczajnie po lekkiem naświetlaniu oczu następuje poprawa wzroku. Dopiero później dowiedziałem się, że pani ta była u profesora-okulisty i że on zaproponował jej bardzo kosztowną operację. Jedno oko przesłaniała mgła, która po kilkutygodniowem naświetlaniu zupełnie ustąpiła i operacja okazała się, jak narazie, zupełnie zbyteczną!

P. Grabowska, matka nauczycielki lwowskiej, pani Kornagowej, posiadała też jedno oko wadliwe; po naświetlaniu oczu mogła czytać zupełnie bez szkieł, a okulary, które miały być

zmienione na mocniejsze, okazały się zupełnie niepotrzebnemi. Była to osoba już starsza, więc trudniejsza do leczenia.

U jednej osoby z Kołomyi, pani Schindler, żony dyrektora gimnazjum, u której były pozostałości z morbus Basedowei, zachodziła konieczność operacji przewodu nosowego, który ponoś zawierał ropę. Wobec subtelnego zdrowia i niezdałości jednego oka operator ubezpieczał się orzeczeniami dwóch innych lekarzy przed odpowiedzialnością z powodu ewentualnych konsekwencyj niebezpiecznej i kosztownej operacji. Po sześciutygodniowem naświetlaniu ustały wszelkie bóle tak głowy, jak i tej partji twarzy, która miała być poddana operacji. Pani ta wróciła do domu jako zdrowa.

Naświetlanie lupusa i różnych innych egzemów, psoriasis i t. d. okazało się często dodatniem. W dwóch przypadkach lupusa po wielomiesięcznem naświetlaniu nastąpiło zupełne zagojenie czyli zabliźnienie.

Do mojego laboratorjum uczęszczały w celach leczniczych osoby różnych zawodów, nawet lekarze i ich małżonki. Nie jestem w możności przedstawić pełnej liczby tych osób, co korzystały z mojego odkrycia, bowiem rejestr, jaki był prowadzony od samego początku, został zupełnie zniszczony wybuchem dwóch ręcznych granatów, jakie w celu zabicia mnie rzucono do mego laboratorjum. Było to dziełem braci Słowian-Ukraińców, borbifaksów, co za pieniądze niemieckie w interesie Wasyla czyli Wilhelma Habsburga mordowali i palili bezmyślnie wszystko, co im pod ręce wpadło.

Oskarżono mnie, jakobym ja, rzekomo profesor szkoły politechnicznej i komendant legji akademickiej, przechowywać miał u siebie broń i amunicję w celu odcięcia Ukraińcom ewentualnego odwrotu z Ossolineum. Wszystko to razem było żydowskim chyba wymysłem. W każdym razie pewnem jest, że zamach Ukraińców na moje życie i zdrowie, wykonany przez patrol ukraiński, złożony z 16 żołnierzy, prowadził młody, skrofuliczny Żydek, który zamyślał podrzucić mi jakieś corpus delicti w celu umożliwienia obwinienia mnie, lecz został przez

mojego mechanika, Rusina, wstrzymany od tego niecnego zamiaru. Nie byłem nigdy niczyim wrogiem, ani Żydów, ani Ukraińców, nie troszczyłem się nigdy o czyjeś wyznanie polityczne czy też religijne; byłem wprawdzie w czasie inwazji komendantem Straży Obywatelskiej I dzielnicy, I sekcji, która rozporządzała 20-tu rosyjskiemi karaulami, lecz nie miałem w mojem całem życiu nigdy nic wspólnego z sprawami wojskowemi lub też z jakąkolwiek militarną obroną kraju.

Tutejsi Żydzi wyróżniali się zawsze bezprzykładnym patrjotyzmem: za czasów bowiem austrjackich ryczeli: „Vivat Kaiser von Österreich!" jak przybyli Prusacy, to gardła sobie rozdzierali: „Hoich lebe der groise Kaiser Wilhelm"; gdy wtargnęli Moskale, to nie było już końca okrzykom: „Hurra car Mikołaj i błogonarodnyj Mikołajewicz"; gdy wreszcie na Lwów napadli niespodziewanie Ukraińcy, intonowali: „Es lebe hoich groiser Petlura und König Wasil Habsburg"!

Mam jeszcze obecnie do naświetlania jedną z wielu ofiar ukraińskiego barbarzyństwa, jest to synek radcy Szczepańskiego. Kula przeszyła mu pierś, zawadzając o rdzeń pacierzowy, co spowodowało zupełny paraliż obu nóg.

Chłopaka opuścili lekarze, nie zdoławszy ożywić nóg. Obecnie o tyle już nastąpiła poprawa, że chłopak może się na nogach przewlec naokoło stołu.

Pannie Maroszewskiej Marji nogi odmawiały posłuszeństwa; po pewnej ilości naświetlań odważyła się wykonać marsz na I piętro.

Pan radca Fischer, jego małżonka i córka poddali się przez pewien przeciąg czasu naświetlaniom. Wszyscy odzyskali zdrowie, choć naświetlaniom u mnie przeciwny był domowy lekarz, profesor. U p. Fischera znikły początkowe objawy gruźlicy płucnej, co zauważył nawet cenny profesor.

Baronówna Rosenwerth, leczona bezskutecznie przez kilka miesięcy pod opieką pewnego profesora, dra medycyny, po pewnej ilości naświetlań uzyskała możność chodzenia. Gdy baronówna zniewalała profesora, aby napisał do mnie polecenie

naświetlania jej, kosztowało to go wielkiego zaparcia się siebie. Ostateczny rezultat naświetlań nie zawiódł oczekiwań baronówny, a profesor raczył go uznać jako rezultat sugestji, zapominając o tem, że kto nie oddaje sprawiedliwości, komu należy, sam siebie krzywdzi.

Na zakończenie muszę zaznaczyć, że mając przez 40 lat prawie styczność z przeróżnymi lekarzami i z przeróżnego rodzaju chorymi, a nie zaniedbując przytem żadnej sposobności dla skorzystania z każdego przystępnego mi postępu fizyki i chemji, wyrobiłem sobie moje odrębne, własne zdanie o żyjącym organizmie, o jego funkcjach życiowych, o jego wadach, szkodliwych namiętnościach i o jego licznych nieprzyjaciołach, ukrytych tak pod postacią drobnoustrojów, jakoteż i zmian kosmicznych, fizycznych i chemicznych, zagrażających na każdym kroku jego zdrowiu i istnieniu.

Cały ustrój organizmu żyjącego przedstawia mechanizm, aparat, tak misternie zbudowany, że zespolony rozum wszystkich uczonych całego świata nie jest w możności ani skonstruować, ani obmyśleć nic podobnego, nic, coby tak samo odnawiało swoje materjalne ciało, odtwarzało je w zasadniczej formie, coby posiadało wszelkie momenty samozachowawcze, rozpoznawało swoje otoczenie, utrzymywało ruch i równowagę swojego ciała, coby potrafiło myśleć i układać swój program przyszłości według wzorów z przeszłości, zachowywanych w pamięci, coby się mogło porozumiewać z innemi podobnemi organizmami, posiadało świadomość swojego własnego jestestwa i istnienia, swoją jaźń, coby mogło powiedzieć: „Cogito, ergo sum".

Jeżeli się jednakowoż uwzględni techniczną stronę tego organizmu w pojedyńczych szczegółach, to myślący człowiek utraca wszelką nadzieję, żeby technika mogła kiedykolwiek w późniejszych, światlejszych czasach stanąć na tak wysokim szczeblu udoskonalenia, aby się mogła choć cośkolwiek zbliżyć do tych technicznych ideałów, w jakie obfituje arcydzieło budowy, żyjąca istota. Człowiek marny, choćby największy uczony, musi się przyznać do swej wrodzonej nieudolności, sam

bowiem siebie nie potrafi poznać, jak to wynika ze skrupulatnie i uczciwie przeprowadzanych badań nad medjumistycznemi zjawiskami, kryjącemi w sobie nowy, przez nas dotąd nie rozpoznany, tajemniczy świat.

Pewną jest rzeczą, że każda istota żyjąca, jak też i każdy odłamek martwej materji stanowią integralną część całego wszechświata; zachodzi przeto dla istoty żywej konieczna potrzeba poznania otaczającego ją tajemniczego świata, aby mogła ona poznać stosunek swój do wszechświata, stanowisko w nim, przyznane jej przez Wiecznego Twórcę i ustalone nieomylnemi prawami Jego. Z wszechświatem komunikuje się człowiek zapośrednictwem swoich o ograniczonym zakresie działania organów zmysłów, złączony z nim nierozerwalnie tak kolosalnemi więzami nacisku i atmosferycznego dotyku, promieni wiecznie czynnych sił, że o samodzielności istoty swojej wcale marzyć nie może. Zresztą z ubolewaniem przyznać trzeba, że wszelka tendencja, podlegająca woli człowieka, skierowana jest najczęściej ku jego zagładzie, na którą czyhają w pierwszej linji seksualne wybryki, chciwość i nierozwaga. Za dowód trafności tego sądu niech służą bodaj wojny obecne, które cywilizacja udoskonaliła aż do najwyższego barbarzyństwa, choćby obecne formy bytowania, usankcjonowane wspaniałym rozwojem obecnej pseudocywilizacji i kultury, pozłoconej wszechwładnym materjalizmem.

Cała dotychczasowa zdobycz naukowa przy bliższem rozpatrzeniu się w niej jest tworem hipermikroskopijnym wobec bezdennego, bezbrzeżnego morza tajemnic naukowych, z których umysł ludzki po kres swego istnienia czerpać będzie wiedzę dla zbawienia swego i wyzwolenia z pęt brudnego materjalizmu. Bezdeń wiedzy jest tak olbrzymia jak rozległa nieskończoność wszechświata, jak niezmierzony bezkres niewiedzy ludzkiej, pomimo istnienia tylu wysławianych koryfeuszów prawdziwej nauki, tylu miljonów dzieł naukowych i tylu potęg, co potokami krwi ludzkiej wpajały w bliźnich zasady cywilizacyjne. Odwieczne przysłowie: „Gegen die Dummheit kämpften

die Götter vergebens", nigdy nie straci na aktualności. Wracając do zasadniczych pojęć, dotyczących budowy organizmu żyjącego, jestem zdania, że dla zrozumienia jej nie wystarcza zapoznanie się jedynie z topograficzną i geometryczną budową żyjącego ciała, jego pojedyńczych materjalnych składników i ich własności tak fizycznych, jak i chemicznych, koniecznie trzeba poznać jeszcze i siłę, która ożywia bezwładną i oporną materjalną masę ciała żyjącego.

Jak daleka jest od tego ideału poznania obecna nauka, świadczy najwybitniej okoliczność, że dzisiejsi mędrcy kłócą się między sobą co do istnienia siły życiowej, że zaprzeczają nawet jej istnienia, natomiast zmysłowo uchwytne różnorodne transformacje jej klasyfikują jako odmienne od siebie siły fizyczne, i te dopiero mają stanowić zasadniczą podstawę procesu biochemiczno-mechanicznego!! Czyż można więcej błądzić, jak przyjmując, że stała, zwięzła, twarda masa materjalna zawiera w swoim zwięzłym stanie utajoną energję, gdy w istocie rzeczy twarda, zwięzła masa materjalna możliwa jest wówczas tylko, gdy miejsce, zajęte przez jej istotę materjalną, zupełnie pozbawione zostało działania energetycznego, gdy to działanie energetyczne ogranicza się jedynie na samą zewnętrzną powierzchnię masy, która w danym przypadku przedstawia materję absolutną. W każdym innym przypadku, w którym cząsteczki składowe masy materjalnej są rozluźnione działaniem energetycznem, przejmującem nawskróś całą masę materjalną, musi się przyznać, że to nie jest zwięzła materja, lecz tylko konglomerat materjalny, relatywna masa materjalna. Największą relatywnością odznaczają się wszelkie ożywione masy materjalne, życie bowiem organiczne lub inne polega na czynności energetycznej pomiędzy cząsteczkami masy materjalnej; organizm żyjącej istoty, składając się przeważnie z 30 blisko stałych, a 70 płynnych składników, jest nader relatywną masą materjalną. Zwięzłość jej jest tak mała, że gdyby nie istniał nacisk powietrza na poszczególne części ciała ludzkiego, to całe to cudo organiczne rozpadłoby się w nicość jak cudna meduza po wyciągnięciu

:ej z wody. Do wnętrza relatywnej masy przenikają nietylko potężne promienie działań energetycznych, lecz i każdy gaz, płyn, każdy drobnoustrój animaliczny i wegetacyjny, ciepło, działanie elektryczności i t. d., organizm taki ciągle narażony jest na zewnętrzne uszkodzenia mechaniczne, jednem słowem natura wystawiła go na ciągle zagrażające zniszczenie, a gdyby w przeciwieństwie do tego nie było w jego konglomeracie komórkowym pewnego zapasu siły, przeciwstawiającej się czynnikom, niszczącym proces życiowy, należałby zapewne do absolutnej niemożliwości.

Każdy spadek, większy ubytek odporności staje się najczęściej przyczyną zasłabnięcia, wynikającego z szkodliwego zewnętrznego wpływu; w momencie bowiem niedyspozycji energetycznej organizmu potencjał sił niszczących uzyskuje przewagę nad potencjałem siły odpornej.

Jednakowoż zapas siły odpornej zależny jest od dokładności funkcyj życiowych. Jeżeli więc zmniejszyła się płaszczyzna alweol płucnych, za mało jest erytrocytów i brak w nich żelaza, jeżeli siłę życiową wyczerpano nadużyciem seksualnem, przebywa się w zanieczyszczonem powietrzu, leniuchuje się leżąc, spożywa się nadmiar łakoci, oddaje się nałogowo alkoholizmowi, paleniu tytoniu, używaniu opjum, morfjum, haszyszu, kokainy i t. d., hula się po nocach zamiast wypoczywać należycie, to rzecz pewna, że z biegiem czasu, gdy organizm zabagnił się niedopałkami trawienia, naczynia włoskowate pozatykały się częściowo kamiennym pyłem kwasu moczowego, może nastąpić nietylko niedyspozycja, spowodowana wewnętrznemi nieporządkami, lecz i zewnętrzne zakażenie z powodu braku odporności. Większość ludzkości usilnie pracuje nad niszczeniem się, oddając się różnym przyjemnościom, należącym rzekomo do zdobyczy kulturalnych.

A gdy jest już bardzo źle i dusza trzepocze się już na koniuszku tylko języka, to lekarz ma dokonać cudu swojemi miksturami łacińskiemi, które najczęściej zamiast podnieść od-

porność organizmu, jeszcze ją obniżają, przytłumiając jedynie chwilowy ból.

Wiem z doświadczenia, że największa część chorób, jakie przechodził dany organizm, nie została wyleczona radykalnie; zostały one stłumione tylko i zwyczajnie odzywają się zlekka podczas naświetlania i to w porządku odwrotnym, tak że słabości z dawnych czasów odzywają się najpóźniej, z ostatnich najwcześniej.

Zasadniczo proces życiowy posługuje się niezależnie od woli człowieka zawsze świeżo nabytą energją, przyswojoną w danym momencie, oddając pewien ułamek masy materjalnej ciała za pewien zasób przyswojonej energji; a jeżeli przyswojona została jakakolwiek zwyżka energji ponad potrzebną do uruchomienia serca, płuc i t. d., akumuluje się ona w komórkach rdzenia pacierzowego, tworząc tam zapas, potrzebny dla wykonywania funkcyj, podlegających woli istoty żyjącej. Ogon zwierząt jest wobec tego przedłużeniem, powiększeniem pojemności akumulatora energji. Sieć przewodów nerwowych jest podwójna, dośrodkowa i odśrodkowa. Dośrodkowa sieć nietylko doprowadza do świadomości wszelkie zajścia zewnętrzne, lecz służy jako pośrednik w akumulowaniu energji w komórkach rdzenia pacierzowego. Sieć odśrodkowa nietylko pobudza mięśnie do ruchu, lecz także dostarcza im energję, potrzebną do wykonania ruchu.

Są to naturalnie zapatrywania, sprzeczne z obecnie ustalonemi poglądami uczonych fizjologów. Również wbrew mniemaniu uczonych, akcja przewodowa nerwów nie jest ani identyczna z elektrycznem przewodnictwem, ani do niego podobna. Działanie bowiem przewodnictwa elektrycznego jest ekspansywnem działaniem materji, stanowiącej istotę zjawisk elektrycznych, na powierzchni metalowych przewodów elektrycznych; natomiast działalność przewodowa nerwów polega nie na ekspansywnem działaniu, lecz na ruchu postępowym materji, stanowiącej nervus rerum tak światła i ciepła, jakoteż elektryczności i magnetyzmu, chemizmu i mechanicznego ruchu, materji, po-

wodującej ciśnienie osmotyczne i stanowiącej zasadniczą przyczynę dynamiki mięśniowej.

Jej ruch postępowy jest znacznie powolniejszy od ekspansywnego ruchu prądu elektrycznego, wynosi bowiem około 30 metrów na sekundę, gdy tymczasem chyżość ekspansywnego działania elektrycznego wynosi około 60 000 mil na sekundę. Poglądy więc Dubois-Raymonda w tej sprawie niezgodne są z rzeczywistością.

Młody Japończyk z Tokio, hr. Tanahaza Hanzi, doktór chemji, odwiedził mnie, ażeby dowiedzieć się ode mnie tajemnicy przyśpieszania wzrostu roślin. Miał on już sposobność widzieć podobne doświadczenie w hotelu w Yokohamie, gdzie fakir z nasienia mango, zasadzonego w ziemi, nasypanej w sieni na kamiennej posadzce, w czterech godzinach wydostał gałązkę o kilku listkach. Hrabia pokazywał mi ją zasuszoną w swoim notesie. Powiedziałem mu, że proces wegetacyjny polega głównie na działaniu osmotycznem, które można powiększyć zapośrednictwem promieniowania energetycznego; że każdy organizm żyjący posługuje się działaniem osmotycznem, praca bowiem serca nie wystarcza do rozprowadzania soków ożywczych po całym żyjącym organizmie; że wielebna nauka ścisła faktu tego nie uznaje, co jednak zupełnie nie przeszkadza jego istnieniu.

Pokazałem mu, że pączki hiacyntu rozkwitły napoczekaniu, a sama łodyga kwiatu podrosła w trzech godzinach pod wpływem naświetlania w przybliżeniu o cztery centymetry.

Podobnie ciekawym gościem był też młody kniaź Trubeckij, adjutant hrabiego Bobrjińskiego. W czasie inwazji rosyjskiej we Lwowie prosił mnie on o pokazanie mu doświadczenia z przyśpieszeniem wzrostu roślin. Mówił, że będąc attaché wojskowym przy poselstwie rosyjskiem w Kalkucie, czytał w angielskich pismach o moich doświadczeniach, opisanych przez Brougthona Wilbyego w „Morning-Post“ czy „Newyork-Herald“. Przeprosiłem go, że tego uczynić nie mogę, w obawie bowiem przed bombardowaniem Lwowa kazałem zamurować w piwnicy mojego domu wszystkie potrzebne do tego aparaty.

Ofiarowywałem się z wydostaniem ich na światło dzienne pod warunkiem, że Lwów w tej kampanji wojennej nie będzie bombardowany.

Ponieważ dotrzymanie takiego przyrzeczenia było poza obrębem wpływów księcia, musiał się zadowolić fotografjami aparatów. Obiecał przybyć do mnie w tej sprawie po wojnie i objawił zamiar zostania moim wspólnikiem.

Mówił mi, że w Kalkucie mówią o mnie ogólnie z szacunkiem o wiele większym jak we Lwowie, że to jest wielką szkodą zagrzebać się żywcem w takiem niewdzięcznem mieście. — Bo i co jest ten Lwów? — dodał — ruska dziura o polskim duchu, z powietrzem austrjackiem i kamienicami żydowskiemi, pełna kłótni narodowych, zabalsamowana w nieśmiertelnej głupocie.

O ile mnie wiadomo, kniaź zamordowany został przez bolszewików; był to wnuk poety kniazia Trubeckiego.

Pojęcie jego o Lwowie niezupełnie było niesłuszne, jako dowód niech posłuży następujący fakt:

Wychodzi z mego laboratorjum jeden z pierwszorzędnych tutejszych prokuratorów Sądu Krajowego, z którego oprócz trzech prokuratorów także trzech radców sądowych poddawało się naświetlaniu u mnie. Prokurator ów spotyka na ulicy znajomego lekarza.

— Skądto wraca pan prokurator? — pyta lekarz.

— Z laboratorjum Iksa won Chyra! Poddaję się tam naświetlaniu!

— Ach, to i pan prokurator wspiera wstecznictwo, zabobon, szarlatanerję i sugestywne szwindlerstwo!?

Pan prokurator, jako cięty prawnik, wysłuchał spokojnie całej litanji, a wreszcie zapytał:

— Czy pan doktór zna Iks won Chyra?

— Nie, nie znam! — odrzekł lekarz.

— Czy pan był kiedy w jego pracowni i zapoznał się z jego działalnością?

— Nie, nigdy!

— Czy pan zna skutki jego działalności?

— Broń, Boże, nie mam o tem żadnego pojęcia!

Wreszcie pyta się p. prokurator:

— Czy pan doktór odbył studja akademickie?

— Tak, na uniwersytecie lwowskim!

— Więc pan doktór jest akademikiem!! Wie pan, że mnie wydaje się to bardzo dziwnem, żeby akademik, który człowieka nie zna, mógł się w podobny sposób wyrażać o nim i jego działalności, o czemś, czego zupełnie nie zna, nie widział i nie starał się nawet poznać!

Tego samego dnia zaszczycił mnie ten lekarz swojemi odwiedzinami, a po dłuższej rozmowie przyprowadził do naświetlania swojego syna. Chłopak był bezskutecznie leczony klinicznie, po kilku zaś naświetlaniach wyzdrowiał. Probatum est!

Ażeby być rzeczywiście znakomitym lekarzem i zasłużyć sobie na miano filantropa, nie wystarcza posiadać uprawniony tytuł następcy Eskulapa i Hygiei oraz wiedzieć, że istnieli kiedyś Hypokrates, Galenius, Teophrastus, Hebra, Szkoda, Bilroth, Harvey, Hufeland, Lister, Virchow Grafe i inni. Należałoby prócz tego posiadać jeszcze ową praktyczną wiedzę, jaką posiadali wymienieni tu koryfeusze wiedzy lekarskiej, gdyż w przeciwnym razie zarozumiałość lekarza staje się nieuzasadnioną, a działalność jego przyczyną niepowetowanych szkód w zdrowiu publicznem. Specjalny ten dar Boży powinien przenikać serce i duszę, gdyż w przeciwnym razie lekarz nie będzie miał dość zrozumienia dla stanu psychicznego chorego, samo zaś rozpoznanie jego stanu fizycznego nie wystarczy do wniknięcia w tajemnicę jego niedomogu.

Jakto ma się rzecz z rozpoznaniem lekarskiem, doświadczyłem sam na sobie, gdy zapadłem na jakąś kiszkową chorobę, mój lekarz domowy wobec nadzwyczaj silnych cierpień moich zaprosił na konsyljum jednego z tutejszych profesorów, który po dokładnem zbadaniu mnie zawyrokował, że to jest zapalenie kątnicy i zaordynował mi pijawki. Rezultatem było dokuczliwe osłabienie; nietylko nie doznałem żadnej ulgi, lecz przeciwnie cierpienia moje spotęgowały się. Zawołano trzeciego

lekarza, był to dr. Smutny, lekarz wojskowy. Ten po bliższem zbadaniu oświadczył, że zaordynowanie pijawek było największą niedorzecznością, w danym bowiem przypadku ulgę przynieść mogła tylko starannie zaaplikowana lewatywa z ciepłej wody! Okazało się, że był to rzeczywiście środek zbawienny.

W innym przypadku chodziło o młodą kobietę, panią Rylską. Dla poddania jej naświetlaniom mąż jej, tęgi mężczyzna, na plecach nosił ją z dorożki do laboratorjum. Wówczas znajdował się w laborajorjum spis 27-miu lekarzy do wyboru dla osób, zgłaszających się do naświetlania, każda bowiem z nich zobowiązana była przed rozpoczęciem naświetlań poddać się badaniu lekarskiemu i pozostać pod kontrolą lekarza w ciągu naświetlań. Dając p. Rylską badać codzień przez innego lekarza, uzyskałem 8 diagnoz, zupełnie od siebie odmiennych, zgadzających się z sobą pod tym tylko względem, że chorobę uznawały za nieuleczalną. Okazało się jednak, że i to twierdzenie było mylne: po trzytygodniowych naświetlaniach p. Rylska zupełnie wyzdrowiała.

Jaki to wielki rozgłos przyniosło profesorowi dr. Kochowi odkrycie dezynfekcji kalorycznej! A tymczasem już przed 60-ciu laty babka moja dezynfekowała nasze ubrania w należycie ochłodzonym piecu piekarskim, po zbryzganiu wnętrza jego wodą.

Hrabia Gołuchowski wytrącił sobie jedną nogę na polowaniu; udał się z nią do specjalisty, który mu tak ją wprawił że hrabia nie mógł dobrze chodzić. Poradzono hrabiemu, żeby się udał do jakiegoś chłopa-znachora, co też uczynił. Znachor wstawił nogę w należyte miejsce i hrabia mógł dobrze chodzić. Zapytawszy chłopa, jakiego żąda wynagrodzenia za tę sztukę, otrzymał odpowiedź:

— Proszę ekscelencję namiestnika, żeby nie pozwolił doktorom zamknąć mnie za wyświadczoną panu przysługę.

Na podstawie prawie czterdziestoletniej praktyki leczniczej zapośrednictwem odkrytej przeze mnie materji słonecznej, nazwanej eteroidem, którą udało mi się pochwycić przy pomocy specjalnie zbudowanej maszyny, kosztem wielu miljonów

(materja ta tworzy podstawę fizycznych zjawisk świetlnych, elektrycznych, magnetycznych, kalorycznych, mechanicznych, chemicznych, wzbudza ciśnienie osmotyczne i jest wobec tego przyczyną krążenia soków ożywczych w organizmach żyjących) oraz na podstawie 51 protokołów, spisanych przez dwóch starszych lekarzy w odniesieniu do chorych, przez nich dokładnie badanych i leczonych zapośrednictwem eteroidu, podała obecna spółka naukowa dla badania mego wynalazku o udzielenie jej koncesji na stosowanie tego w ciągu tylu lat praktycznie wypróbowanego środka do celów leczniczych. Spółka planowała stopniowe rozmieszczenie po całym kraju siedmiu sanatorjów, każde kosztem 21 000 000 dawnych koron austrjackich, obliczonych każde z nich na dzienną frekwencję 5000 osób, razem na 35 000 osób dziennie. Spółka otrzymała następującą odpowiedź:

Województwo Lwowskie
L: 1893/1 1922 Lwów, 10 lipca 1922.
IX/2

W sprawie koncesji na urządzenie i prowadzenie zakładu leczniczego pod nazwą: „Zakład leczenia promieniami eteroidalnemi im. R. . . . . “.

Do
Towarzystwa naukowego dla badania i eksploatacji wynalazków im. R. . . . . we Lwowie, ul. Chorążczyzny l. 15.

Na prośbę, wniesioną przez Towarzystwo, Ministerjum Zdrowia Publicznego reskryptem z 23 czerwca 1922, Nr. 15039 — 3695, oznajmiło, że sprawę udzielenia koncesji na urządzenie i prowadzenie zakładu leczniczego pod nazwą: „Zakład leczenia promieniami eteroidalnemi inż. Rychnowskiego“ będzie mogło wziąć pod rozwagę, o ile zostaną Ministerjum przedłożone wyniki badań, przeprowadzonych z promieniami eteroidalnemi przez kliniki i pracownie uniwersyteckie.

za wojewodę
O. Kuhn.

Otrzymawszy ten wspaniałomyślny urzędowy akt, świadczący o wzorowej przedpotopowej pleśni, nie wiem rzeczywiście, jakich użyć słów słodkich dla należytego usprawiedliwienia jego. Obawiam się, czy kiedy w historji Polski nie odegra pewnego przykrego, niewesołego wspomnienia minionych sławnych czasów przykładnej niewiedzy.

Gdyby chodziło o groźne, jadowite, ważkie lekarstwo lub też preparat zwierzęcy, którego zastosowanie w lecznictwie mogłoby zamienić człowieka na jakiś dziwoląg bezrogi, to takie nader troskliwe zarządzenie badania w kilku klinikach uniwersytetu, odpowiednio do różnorodności wyszczególnionych chorób, miałoby swoje uzasadnienie; gdzie zaś chodzi o cenną istotę, zwyczajne środki fizyczne, nader trudno uchwytne, a pomimo to tworzące główną podstawę życia organicznego, o środki, przez przeszło 30 lat — zasadniczo tylko pod dozorem lekarskim — praktycznie w tysiącach wypadków już stosowane, to żadną miarą nie jest do usprawiedliwienia ta przesadna obawa o wpływ ich na publiczne zdrowie, chyba że tutaj decydują inne motywy. Przecież i słońce oświetla tak ziemię, jak i ludzi, na niej żyjących — zdrowych i chorych — jakkolwiek nie było na to sankcji uniwersyteckiej ani nawet żadnej ordynacji czy opieki lekarskiej!

Zakończenie.

Spotkałem w swoim czasie zacnego, znanego profesora anatomji, doktora Kadyego, z którym byłem zaprzyjaźniony od młodych lat.

Zamiast na bicyklu, jak to zwyczajnie czynił, gonił per pedes apostolorum.

— Co to, — pytam — pan doktór bez swojego żelaznego konia? Jak to może być!

— Guma pękła, — powiada — kupiłem nową, wentyl coś nieszczelny.

— Pan profesor jest obecnie od kilku już lat anatomem na uniwersytecie? Porzucił pan prosektorjum weterynarji?

— Kraję teraz ludzi, którzy się prawie nie różnią od zwierząt!

— Pan profesor musiał już tysiące trupów pokrajać — czy pan znalazł kiedykolwiek wątek życia w tak misternie pokrajanych trupach?

— Nie znalazłem nigdy nic podobnego!

— Widzę, że pan profesor lepiej zna umarłych jak żywych!

— A czy to pan inżynier, który mnie tak nieznośnie egzaminuje, przy swoich doświadczeniach fizjologicznych spotkał się kiedyś z życiem organicznem?

— Nie wiem na pewno, lecz wydaje mi się, że zbliżyłem się już do tego zagadkowego problemu! Opowiem panu profesorowi o kilku moich ostatnich doświadczeniach wiwisekcyjnych. Przeciąłem ostrożnie żabie na tylnej nodze nerw ischiaticus i przywiązawszy na białej nitce jedwabnej koniec jego, prowadzący do kończyn nogi, tak ażebym go mógł cośkolwiek wyciągnąć w celu umożliwienia opromieniowania eteroidem, osiągnąłem zupełną możność stałego napinania i rozluźniania tej nogi. Noga poczęła pod wpływem eteroidu wykonywać ruchy, podobne do ruchów, wykonywanych przy skoku przez żywą, żabę. W drugim przypadku otworzyłem klatkę piersiową żaby tak ażebym mógł opromieniować eteroidem serce. Wynik tego doświadczenia był ten, że mogłem zmieniać tętno serca według swego upodobania.

W trzecim przypadku po wypompowaniu powietrza z małego, kulistego szklannego naczynka napełniłem je tą cudowną materją, która tworzy podstawę energetycznego promieniowania eteroidu, a gdy naczyńko to położyłem na stole, nim się spostrzegłem, zaczęło ono szybko wirować na kraju stołu i wirowało tak długo, aż wewnętrzny zapas tej cudownej energji został wyczerpany. Proszę pana profesora, czy ten objaw nie przypomina żyjącej komórki?

— Dlaczego pan nie ogłosił tego? Boję się, żeby P. T. następcy Hipokratesa nie namówili pana do sekcjonowania żywcem mojej osoby.

— Do widzenia panu, kochany panie profesorze!

Upłynęło wiele lat od tego pamiętnego dla mnie spotkania. Przez ten czas pod troskliwą opieką lekarską, wiele osób przeniosło się do wieczności, pomiędzy niemi także i hrabia Stanisław Badeni, który przy potężnej budowie ciała swego mógł żyć jeszcze kilkanaście lat. Biedny Kady podjął się balsamowania tego skarbu krajowego i zakaził się, a Wieczny Sędzia powołał go do wieczności. Pewnej nocy zjawia się wobec mnie widmo profesora z ręką, podniesioną do góry jak do przysięgi i upomina mnie w sposób stanowczy, abym opisał swoje wieloletnie doświadczenia oraz wydał je drukiem, nie zważając na nic, na żadną koterję, na żadne trudności, jakieby ewentualnie robiła naczelna władza naukowa — Akademja Umiejętności — i inne korporacje naukowe bym to cenne dla całej ludzkości, boże błogosławieństwo przynoszące, odkrycie oddał do publicznego użytku, nie licząc na żaden materjalny zysk, ani też na jakiekolwiek poparcie, bo to jest istotny dar boży, nie dający się okupić żadnemi skarbami ziemskiemi i jest największą zdobyczą, jakiej się ród ludzki od wielu tysięcy lat doczekał na ziemi, zdobyczą, którą sfery naukowe rozpoznają wówczas dopiero, gdy obecna pod wpływem materjalizmu zupełnie zgangrenowana generacja usunie się z widowni ziemskiej do wieczności, a jej schorzałe pozostałości naukowe, moralne i etyczne zostaną zdezynfekowane prawdą bożą przez prawdziwą ludzkość na ziemi.

We Lwowie, 22 września 1922.

Iks won Chyr.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
O.O. Dominikanów Poznań

T. J.

2402

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
858078